JAN KASPROWICZ

# PISMA PROZĄ

II

KRAKÓW
1930

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

# O ASNYKU

# I. EL... Y.

*(Odczyt na wieczorku Asnyka).*

Przypadł mi dzisiaj zaszczytny obowiązek w udziele, obowiązek złożenia hołdu pieśniarzowi, którego wielkie zasługi na polu poezji naszej same przez się takim są dlań hołdem, że go żadne słowo, choćby najgorętszych wielbicieli, zastąpić ani uzupełnić nie może.

Jeżeli jednak przemawiam dzisiaj, to w uroczystej chwili tej powoduje mną chęć przypomnienia najgłówniejszych pierwiastków Asnykowskiej liryki, które niewątpliwie znane są szanownym słuchaczom, ale które zwykłym porządkiem rzeczy chowają się w wirze zajęć i trosk codziennych na głąb duszy i osłonięte szarą mgłą powszedniego życia, zewnętrznych dopiero wymagają bodźców, aby stanąć przed nami w całym swym blasku, aby promienieć właściwą im tęczową barwnością.

Można bez obawy spotkania się z zaprzeczeniem twierdzić, że cała młodsza generacja ludzi wykształconych wsłuchiwała się i wsłuchuje w dźwięki pieśni, przypominających strofy prowansalskich truwerów, pieśni — jeżeli je przeniesiemy w sferę porównania z dziedziny sztuki plastycznej — posiadających linje Psychy, wyszłej z pod dłuta Praksytelesowego, pieśni, odurzających wonią jaśminu i konwalji, czarujących kwieciem wodnych lilij i róż białych.

A chociaż dusza tych tonów, wychodząc z koła melancholijnej zadumy, przybierała czasem postać szydercy, urąga-

jącego publiczności, że z rąk jej wypadł sztandar wielki, że w sercu jej zagasł płomień, który stwarzał bohaterów i męczenników, że znamionami jej dzisiejszemi to niedowiarstwo i hipokryzja, tchórzliwość wobec budzących się haseł nowych, chłód lub mdły sentymentalizm na miejscu dawnego uczucia — chociaż dusza ta, upozowawszy się na chmurny posąg wieszcza, stojącego „z wężowemi rózgami Eumenid“ w ręku przy grobie Agamemnowym, gromiła „gotowy paść liktorom w ramiona“ „blady cień Baru“, to publiczność, a przynajmniej oświecona jej część, przekonawszy się, że natchnień nowego poety nie można mierzyć zwyczajną rymopisów miarą, uchyliła przed nim czoła; to „Arystodemów wdowa żałobna“ zaliczyła go do najlepszych swych synów, do chlub i chwał swoich.

A zaliczyła go nie dla tego, że do poezji naszej, wspinającej się pod tchnieniem genjuszu wielkich mistrzów romantyki na szczyty zawrotnie wysokie i stamtąd rozbrzmiewającej potęgą, zdolną rozsadzić nie łona ludzkie, lecz piersi tytanów, wprowadził nowe pierwiastki w postaci — jak mówi jeden z krytyków — „uczuć wiotkich, delikatnych, a kruchych“.

Nie dla tego, że obdarzony nadzwyczaj subtelnym, prawie wyrafinowanym zmysłem artystycznym, doprowadził formę wiersza do niebywałej przedtem kunsztowności, choć miał pod tym względem takich poprzedników jak Słowacki i Zaleski. Nie dla tego, że wrażliwa, a wiewna, promiennością przepojona jego dusza umiała, zboczywszy na chwilę do eleganckiego buduaru, ulatać na pola nasze, pomiędzy dzwonki i bławaty, niezabudki i fiołki, wsłuchiwać się w szmer wody, huczącej po kamieniach, błądzić śród ozłoconych szczytów tatrzańskich, padać w ascetycznem uniesieniu pod stopy krzyża, lub pod odłamkami rzeźb greckich snuć marzenia



o miłości, mającej nową zwiastować wiosnę ziemi, „skażonej gniciem grobowem“. Nie dla tego że potrafiła się nurzać w mgławicach kosmicznych, jak blask słoneczny unosić się nad ciemnemi głębiami, wyprowadzać z nich wątek najzawilszych zagadnień i rozjaśniać je światłem swojem. Nie dla tego, że te wszystkie tak różnorodne akordy łączyła w dziwnie roztęsknioną melodję, podobną do szelestu wierzby, płaczącej na pustkowiu, do śpiewu czarnych świerków, które duszę tę. odpoczywającą na mchach jedwabnych do snu kołysały, w muzykę harmonijną, jak szmer siklawy, jak szum bajońskiej zatoki, a tylko czasem przerywaną zgrzytliwą klątwą, z szkła wypełnionego falernem, tryskającą, lub rozpaczliwym wybuchem nowych boleści spragnionego Tantala.

Do chlub i chwał swoich zaliczyła go dla tego, że jakkolwiek w twórczości poety był okres, w którym dusza jego skarżyła się na własne z czysto egotycznych, niejednokrotnie dość miałkich źródeł wypływające bole, to przecież niebawem otrząsła się z tego zakochania się w sobie i mając niejako przyrodzoną skłonność do refleksji, jęła wchłaniać pierwiastki, stanowiące istotę najszlachetniejszych dążeń i pragnień ludzkości, zastanawiać się nad niemi i wcielać je w kształty swej spokojnej, a głębokiej, pomimo tu i ówdzie widocznych wahań, stanowczej wyobraźni.

Zaliczyła go przedewszystkiem z tej dla nas i dla naszej poezji tak doniosłej przyczyny, że dusza jego wychowana w tradycjach Adamów, Juljuszów i Zygmuntów, rozwijająca pierwsze swe pączki w chwili, kiedy społeczeństwo na zew, zerwawszy się znowu do bohaterskiego lotu, spadło w kałużę krwi własnej i na podstawie naturalnego prawa ekscytacji i depresji poczęło nasamprzód tracić wiarę w możliwość dźwignięcia się z upadku, a potem, ochłonąwszy z przestrachu, szukać nowych dróg odrodzenia — że więc dusza jego do

pierwotnych młodzieńczych wróciła natchnień i przesłuchując się pulsom narodu, odtwarzała jego rozpacze i jego nadzieje.

Zaliczyła go dlatego, że równocześnie dusza ta wskazywała narodowi i środki, których jąć się należy, ażeby z „bladego cienia Baru“ stać się potęgą „sen Grachów w czyn zamieniającą“, ażeby mianowicie odpowiedni zapewnić udział w życiu społecznem temu „najmłodszemu w siermiędze“, co idąc razem z dwoma innymi braćmi na górę z kryształu, by „z rąk czarodzieja złego „uśpione wyrwać bóstwo, nie zginie w płomieniach jak tamci, nie padnie zwyciężony, lecz „oprze się pokus i czarów potędze i pnąc się zwolna, mimo straże gniewne z snu zaklętego obudzi królewnę“.

Ten przykład Asnyka który w rzeźbiony ręką Celliniego złocisty puhar formy poetyckiej umiał wlewać myśli i uczucia, nie z egotycznych zrodzone podnieceń, ale będące iskrami czy to wielkiego ogniska ludzkości, czy też odbiciem życiowych blasków rodzinnego społeczeństwa, ma wielkie znaczenie zwłaszcza w naszych czasach, gdzie źle zrozumiane hasło „sztuka dla sztuki“ stwarza kokieteryjnie zapatrzonych w siebie narcyzów poezji, Endymionów, „lecących w zachwytów nieskończoność“, których treścią nie jest życie z jego rozkoszami i bolem, z jego pragnieniami i przebojem, tylko widmo „rzuconej w błękity bladej Seleny“. A widmo to, choć kochanka swego „nową co noc odświeża młodością“, nie umie w młodość tę wlać siły czuwania, tylko mami pozorem życia, bo w wiecznie uśpionym haszyszowe jedynie, nieuchwytne, mgławe rozbudza marzenia.

Że i El...y przebywał okres takiego Endymionizmu, że i on tęsknił za pocałunkiem księżycowej fantasmagorji, „któryby mu czas zamknął“, czas promieniami dnia oświeconej pracy na zachwaszczonym zagonie społecznego bytu, a uniósł go na skrzydłach rojeń w sferę, z realnemi warunkami życia



nic nie mającą wspólnego, że i El...y fazę tę przechodził, nie jest to dowodem, ażeby leżała słuszność w odrywaniu poezji od zadań, wyposażonych w krew i kości ludzkie.

Po krótkiem zboczeniu z drogi, którą najwięksi kroczyli mistrze, na której Dante i Szekspir, i Byron i Shelley i Goethe i Mickiewicz i Słowacki i Krasiński zbierali materjał dla wzniesienia sobie wspaniałego w przyszłości pomnika, przyszedł Asnyk do przekonania, że poeta nietylko ma prawo być obywatelem czy ludzkości czy swego kraju, ale że jest to pierwszym jego obowiązkiem i że tylko te wytwory jego ducha posiadać będą moc trwania, w których odzwierciadlają się myśli i uczucia ogółu, a jego własne cierpienia i nadzieje o tyle, o ile spowodowane są cierpieniami i nadziejami społeczeństwa.

Przyszedł do przekonania, że wprowadzając do poezji swojej te powszechnem szczęściem promienne, lub powszechną boleścią spochmurniałe żywioły, ujmy jej nie czyni, lecz owszem wiedzie ją z ładnego może, ale od perfum dusznego buduaru, w miejsce dla niej właściwsze, bo pod sklepienia przestronnej, na potężnych kolumnach opartej świątyni, w której uroczysta, podnosząca serca, krzepiąca ducha panuje atmosfera.

Przyszedł do przekonania, że choć myśl społeczna czy filozoficzna może ciężkością swoją obarczyć lotne skrzydła liryki, może przeszkodzić jej w takiem rozpłynięciu się w mgły rozmarzenia, iż przed ludzkiem okiem zginie wyrazistość jej kształtów, to przecież „nad cichą serca spowiedź“ trwalszemi będą wyrazy o tym Heraklesie, który „będzie zwycięzcą i przy gromów błysku Prometeusza z więzów oswobodzi“, bo tamte pisane są na listku róży, więdnącym już przy zerwaniu, a te ryte są w spiżu.

Przyszedł do przekonania, że nad owe dźwięki canzonetty, wzywającej znużonego wędrowca, ażeby zapomniał o mitrach

dawno zwiędłych i w cieniu krzewów, pod innemi wyrosłych niebiosami do spokojnego snu się ułożył, donioślejszym choć tak strasznym jest ów okrzyk:

„Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi!
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynyj złowrogi
I niezgaszone pragnień pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi — lecz niechaj wybucha!"

Donioślejszy, bo łagodna melodja canzonetty urodziła się z nadmogilnych majaków, a rozpaczny dysonans Tantala powstał jak wiew burzliwy z wiecznie niesytej, do świeżych zamarłością życia wstrząsnąć mających czynów roztęsknionej siły!

Przyszedł do przekonania, że owe błogosławieństwa, zlewające się na tych, którym otworzą się oczy, „pełne blasku i pieszczoty", że owe zazdroszczenie kwiatom, iż mogą„ składać życzeń utajonych wiele" i śnić o szczęściu, „zanim z tęsknoty uwiądną serdecznej", że zakochanych z liljami wodnemi rozhowory, owe, smutne nawoływania „Gdzie ona?" — że wszystkie te głosy i półgłosy marzącego serca niczem są wobec śpiewu o tej myśli, której „ani miecz, ani ogień nie zdoła powstrzymać w biegu", o tym „płomieniu prawdy", o tej „wiedzy jasnej pochodni", której szukać, którą nieść każe młodym, o tym ludzie wreszcie, na którego zdrowie wznosi kielich, napełniony najwybrańszem winem swych uczuć.

Tamte mają woń fiołków, a te żywiczny zapach limb, wyrosłych na dumnych, niebosięgłych graniach; tamte mają dźwięki roztkliwionej fujarki, na której w noc lipcową przy



księżyca blasku wygrywa samotny pasterz w ogrodach Delilla, a te brzmią prawie że potężnym Klangorem surm wojennych, pobudzających miljony krwistych, życia pełnych rycerzy do walki o najdroższe dobra ludzkości.

## II.

Ale wychodząc poza granice tej *evolution du moi*, która w Mussecie i Heinem tak świetnych znalazła wyznawców, czyż poeta pozbył się na zawsze w liryce swej duszy tych drgań własnego „ja" na widok zwykłych dotkliwości życiowych, dających się temu „ja" we znaki? — Nie mówię o jasnych stronach tej doli powszedniej, bo ta mało bardzo miejsca zajmuje w przepełnionej skargą i żalem pieśni Asnykowskiej. —

Nie!... „Odtrącił od siebie daleko samolubną boleść," a natomiast „wszystkie nędze ludzkie i rozpacze" zamknął w swem sercu i im poświęcił tony swej lutni, mimo to jednak osobisty motyw wraca od czasu do czasu w jego lirycznych wylewach, a wraca nieraz z taką siłą, że poeta upada „zmęczony na ziemię, odkrywając rany, które krył". Motyw ten wraca atoli czystszy, powiedziałbym — szczerszy, aniżeli to było w utworach z epoki, w której El...y, zacząwszy sceptycznie spoglądać na wielkie wysiłki świata, prawie się dostrajał do wymagań płytkiej, żadnych gwałtowniejszych wstrząśnień nie znoszącej publiczności.

To dostrajanie się zjednało mu też liczne koło czytelników, a jeszcze liczniejsze grono czytelniczek, uczyniło imię jego popularnem i dziś jeszcze — śmiało twierdzić można — przeważna ich część bardziej jest obeznaną z jego ulotnymi, zachwyty i cierpienia miłośne opiewającemi lub — co prawda, w sposób bardzo wdzięczny — przedrzeźniającemi wierszy-

kami, aniżeli z temi imponująco głębokiemi utworami o zakroju filozoficznym czy narodowo-społecznym, których pozazdrościć nam może każde piśmiennictwo, a które są istotną treścią wielkich zasług Asnyka, istotną przyczyną, że imię jego błyszczeć będzie obok najświetniejszych gwiazd na horyzoncie umysłowości naszej.

W egotycznych wylewach muzy El...y'ego pierwsze miejsce — pod względem liczby poświęconych jej utworów — należy się miłości. A jakąż jest ta miłość, ta, jak mówi któryś z poetów, największa potęga na świecie?

Przedewszystkiem nie jest ona u El...y'ego potęgą.

Niema w niej tego ogromu uszlachetniającej siły, która sprawiła, że Dante, w mistycznej ekstazie podniósłszy Beatryczę swoją do wyżyn wspaniałego pojęcia etycznego, nadał jej charakter symbolu nadziemskiej świętości, mającej prawo spoglądać w jasność bożą na równi z aniołami i Marją.

Niema w niej, rzekłbym, tej dziwnie przejmującej, Dantemu podobnej pobożności uczucia, która idealnem tchnieniem wypełnia głębię nieskomplikowanych pieśni Zygmunta Krasińskiego. Nie ma tęsknoty za tym aniołem, któryby mu „czasem zaśpiewał o kochance", coby „stojąc na grobie jego pogrzebanych snów, rzucił schyloną pochodnią swoją kilka iskier na przyszłości fale i blaskiem chwały ozłocił jego żale".

Niema w niej nareszcie tego pierwiastka naiwno-szczerej zmysłowości, spotykanej w niektórych sonetach Mickiewicza.

Pomimo pozorów bolu z powodu utraconej kochanki, rozsianych w ślicznych pod względem kunsztu pisarskiego poemacikach, miłość ta sprawia przeważnie wrażenie, jakby graniczyła nieomal z flirtem. Zmysłowość tych cacek nie wypływa z głębi istotnego uczucia; miłość ta nie jest pragnieniem, które dwoje ludzi łączy na śmierć lub życie nie dla pieszczot, ale dla wspólnego dążenia do idealniejszych celów bytu, jak



to widzimy choćby u Shelley'a. Jest to bawienie się namiętnostką, posiadającą nawet pewien odcień lubieżności.

Pod oknem kochanki wyrasta krzak róży i przeszkadza poecie zaglądać — do buduaru zapewne, a tylko drażni jego ciekawość i pobudza wyobraźnię. Kwiecie róży przypomina mu karminowe usteczka ukochanej, a właściwie pożądanej. A gdy księżyc oświeci srebrem listki krzaku, to zdaje się „marzycielowi", jakgdyby widział senne lica swej damy. I oto powstaje w nim chęć całowania jej „włosów jedwabnych" chęć zdeptania tej róży. Ale jak dobrze wychowanego, uczucia swoje na wodzy trzymającego salonowca, od tej ryzykownej imprezy powstrzymuje go obawa, ażeby przypadkiem Dulcinea śmiałości takiej za złe mu nie wzięła.

Przypominam treść wierszyka, ponieważ oddaje znakomicie charakter erotyków Asnykowskich.

Pomimo zapewnień poety, że „Eros zawstydzi się blady przed jego pragnień pożarem", pomimo twierdzeń, wypowiedzianych w myśl Anakreonta, że w pocałunku „roztopi ducha dzielność", pomimo rady, udzielonej młodzieńcowi, ażeby „zamiast w mglistych czystych snów przeźroczu kąpać duszę bogobojnie" starał się o względy dziewczyny, śmiało patrzał jej w oczy, ściskał jej dłoń i całował jej usta, nie podobna w miłości tej dopatrzeć się czegoś więcej ponad konwencjonalizm zmysłowy, nie podobna przyznać jej mocy elementarnego wybuchu.

Zamiast dyszeć uczuciem, jest ona przeważnie czułostkową: nachyla się w księżycowym nastroju nad liljami wodnemi, zrywa gałązki jaśminu; opłakując rozłączenie, staje nad trumną dziewicy z słowami sentymentalnego filozofowania.

Jest naiwną, ale naiwność jej nie posiada również tak wybitnych cech pierwotności, jak u Lenartowicza, a nawet Za-

leskiego. Do naiwności tej przyplątuje się zbyt wyszukany, zbyt „poetycki“ sposób myślenia, jak choćby w ślicznej zresztą „Przebudzonej“, która pragnie „słodko marzyć, patrząc się w oczy“, ale równocześnie chciałaby „całą jasność i piękność ziemi zabrać na własność sercami swemi i skryć w błękicie wszystko radośne“.

A już przestaje być naiwnością tam, gdzie poza niewinnemi słówkami kryją się przebłyski zwyczajnego pożądania — jak chociażby w owej „Róży“.

Miłość więc w lirykach El...y'ego, choć stworzyła kilka jak „chóry anielskie“ cudownych dźwięków, kilka, jak „tęsknota“, melancholijnych powiewów, choć na odmalowanie zmysłowego uroku swego znalazła tyle tęczowych barw, ile miała unosząca się nad ziemią starożytna bogini Cheldejczyków, to przecież nie wielka, płomienna namiętność duszy poety, to raczej, ogółem wziąwszy, salonowa miłostka, na której dnie może się i znajduje odrobina istotnego uczucia, ale uczucie to nie posiada dostatecznej mocy do wypełnienia sobą każdej żyły, do poruszenia, do rozgrania każdej fibry w człowieku.

Miłość taka ani nie podnosi, ani nie łamie. Miłość taka sprawia, że „przejęty“ nią potrafi wpiąć sobie kwiat niezabudki w butonierkę fraka i tak dawniejszą kochankę swoją prowadzić, jako drużba, do ołtarza z innym. Jest to „sen miłości“, który pierzcha zbyt prędko, ażeby niezatarte w sercu pozostawić ślady. Miłość taka wywołuje kilka słodkich chwil w życiu, gdy wzajemna, a uśmiech lekkiej ironji lub sarkazmu, gdy druga strona oszukała się na niej, gdy względy salonowe czy przyrodzona płytkość ducha nie pozwolą jej odpowiedzieć życzeniom starającego się o nią.

Poeta szukał miłości tej w buduarze, śród dam, z „czarownym wykwitem uśmiechu, z załzawionemi oczyma pie-



szczących pieska“ („Spóźniona odpowiedź“), nie dziw więc, iż przyszło — zapewne bardzo wcześnie — do tego, że „dla dam“ miał, zamiast uczuć — karmelki.

Rzecz dziwna, a może w tych warunkach nie dziwna, że pieśniarz, pod względem zdolności wnikania w przyrodę, w tajemniczego, a potężnego jej ducha, prawie że nie ustępujący, jak to wykazał w wrażeniach tatrzańskich, lub w sonetach „Nad głębiami“, Shelley'owi, którego „Chmurę“ tak cudownie przyswoił literaturze naszej, nie umiał w erotykach, pomimo przeciwnie świadczących pozorów, zlać miłości swojej z miłością wszechświata, nie umiał stworzyć tego panteistycznego skojarzenia uczuć swej jaźni z uczuciem powszechności, co zdaniem — jeżeli się nie mylę — Tarde'a — jest ostatniem słowem poezji.

„Najpiękniejszych piosnek nauczyła go dziewczyna“ — zapewnia El...y w jednem miejscu — „bo mistrzem mu były, jej harmonijne usteczka“. My byśmy powiedzieli, że poeta przecenił wpływ tych usteczek. Najpiękniejszych, najczarowniejszych, najwznioślejszych pieśni, źródło niezgasłej jego chwały, nauczyła go Przyroda, nauczyła go myśl, zrodzona z duszy walczącej ludzkości, nauczyło go cierpienie ziemi ojczystej.

Egotyczne uczucie, podobne w erotykach do kwiatu, wyhodowanego w atmosferze cieplarnianej, posiada natomiast woń i barwę prawdy w szeregu innych utworów, które nie tyle dla ich pysznego artystycznego kształtu, ile dla pierwotnej szczeroty ich treści do najpiękniejszych zaliczyć wypada.

Żale za utraconą wiarą dziecięcą, na miejscu której w „duszy zburzonym kościele“ została straszna pustka i samotność, wypłakuje poeta “pod stopami krzyża“. Serce jego napełnia się pokorą i błogą ufnością, że jako jeden z cierpiących nie będzie odepchnięty od zakrwawionych ramion Chrystuso-

wych. Macierzyńskie ciepło domowego ogniska błogosławi rozpływając się w słodkich wspomnieniach chwil młodocianych, w rodzinnem przeżytych mieście; a w elegijnym „Powrocie do domu“ klęka z niewysłowioną żałobą przy drogiej mogile — z żałobą i boleścią tak głęboką, tak serdeczną, że pod jej ciśnieniem łza uwięzła pod powieką, jęk nie miał mocy wydobyć się z piersi. „Echa kołyski“ zabijają w nim prostotą i szczerością swoją pogardę i nienawiść ludzi, którą w nim gorzkie wyrobiło życie, każą mu wierzyć w prawdę, cnotę i piękno, jako niewygasające nigdy w ognisku ludzkości dobroczynne, zbawcze płomienie. Miniona młodość, a z nią wizja szczerszej, aniżeli buduarowe damy, istoty, szczerszej, bo nie budzącej w nim sceptycznego podrwiewania, staje mu przed oczy na widok astr jesiennych, księżycem oblanych, a melancholijna tęsknota do drobnostki — do jednego serca, jednych ust, dwojga oczu i rąk białych dwojga, owiewa nas jak oddech z nieszczęśliwej, a szlachetnej piersi, w sonecie, który należałby może do erotyków, ale który ze względu na odmienną, istotnem uczuciem napojoną treść zasługuje na wyłączenie go z kategorji sentymentalnych, pseudo-naiwnych lub ironicznych, niezdrowej narkozy pełnych wynurzeń.

„Ach! jak mi smutno!“ woła w innym wierszu, w którym również czuć, że łono poety prawdziwa rozdziera boleść, a ton łagodnej rezygnacji, pogodzenia się z losem, przemawia nie z tych pesymistycznych, bajronicznych zapewnień, że „nie ma boleści, coby go trwożyła, bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzy“, — ale z owej chęci, aby się zejść z życiem szlachetnem i młodem, co „jak bluszcz swoją latorośl, przeciska do słonecznego światła — przez zwaliska“. Rezygnacja ta przemawia z owych, altruistycznej mocy pełnych, serce człowieka uszlachetniających wyrazów, że „zdrój czystych



uciech będzie innym szumiał i inne serca poił swą słodyczą“. Przemawia z owej melodyjnej wreszcie apostrofy: „Ucisz się serce! — swoich strat już nie opłakuj stroskane; ale wschodzący pozdrów świat i jego jutrznie różane. Błogosław nowym życia dniom, temu, co wschodzi i rośnie, świeżym nadziejom, świeżym snom, świeżej młodości i wiośnie“.

## III.

Przez szkła egotyzmu patrzał Asnyk w wcześniejszych okresach twórczości swojej także na przyrodę, wybierając sobie te szczegóły z jej życia, któreby się najlepiej nadawały do zestawienia ich z jego chwilowem usposobieniem. Szukał więc „kwiatu paproci“, który, zakwitając na jedną chwilę, będzie dlań symbolem młodości, co krótkotrwałemi ideałami swemi otaczający ją świat rozjaśnia.

Chodził pomiędzy stokrótki, a pospolitość ich wydała mu się dzięki temu samemu pryzmatowi w cudne ubrana kolory.

Melancholijne westchnienia, wijące się około spomnień studenckich, łączył z powojem, co się piął około okna jakiejś wdzięcznej sąsiadki. W cichej nocy miesięcznej płynąc po jeziorze, odgadywał marzenia lilij wodnych i zlewając z niemi swoje i kochanki swojej tajemnicze lęki — obawy, jaki będzie los ich dwojga po śmierci, pocieszał ją i siebie uroczą muzyką słów:

„Może także nad tonią błękitną,
Tu, gdzie teraz, rozmawiamy z sobą,
Takie lilje znów po nas wykwitną,
Naszych losów, owiane żałobą,
I w niebiosa patrząc się pogodne,
Będą o nas marzyć lilje wodne“.

Niekiedy używał tworów przyrody jako środków do celów mniej eterycznych, mniej powiewnych — i wtedy twory te, jakgdyby traciły charakter symbolów, a przeradzały się, mimo świeżości, barwy i woni, które im poeta nadać usiłuje, w suchą, bezbarwną, bezwonną alegorję: bławatkiem posługiwał się dla uzmysłowienia naiwności dziewczęcia, a widok fiołków, ukrytych w trawie, wprost odrywał wyobraźnię jego od przyrody, służąc mu tylko do porównania go z oczami ukochanej, które mu się naturalnie wydały śliczniejsze od kwiatu.

Mimo wszystko, mimo wielkiego uroku, jaki na mnie wywiera cykl „Kwiaty", powiedziałbym, że w tym okresie widnieje pewna chorobliwość w traktowaniu motywów przyrody, otaczanej przeważnie jakby mgłą sentymentalizmu, albo będącej zewnętrznym jeno środkiem artystycznym do zobrazowania chwilowych uczuć poety.

W jednym tylko wierszu z tego okresu spotykamy się z idealniejszem, szczerszem, głębszem, bardziej wewnętrznem obcowaniem z naturą, mianowicie w „Dzwonkach", gdzie nastrój zbliża się do nastroju w niektórych obrazach tatrzańskich. Jest w tym poemaciku mimo aluzyj miłosnych — stopienie ducha jednostki z duchem wszechświata. Jest akord, przypominający myśl cyklu sonetów „Nad głębiami", akord o niezniszczalności wszelkiej treści bytów, a więc i człowieka, który nie umiera, a tylko w zmienionych kształtach żyje dalej śród ogólnego ruchu nieskończoności.

Na widok dzwonków czuł poeta, jak „niszcząca i razem twórcza władza" — nieśmiertelna potęga boża, roztapia go w ogromie światów, jak mu „dla ducha toruje drogę": i widzi siebie w każdej drobince i „wszędzie myśl swą dawną znajduje, a jedną cząstką ponad grobami wybiega na świat kwiatów oczami".



Myśl ta, spotęgowana jeszcze, powraca w wspaniałej „Nocy pod Wysoką".

Atoli i w obrazach tatrzańskich — należących bezsprzecznie zarówno pod względem poetyckiego malowidła, jak i poetyckiego nastroju do najcudowniejszych emanacyj siły twórczej nietylko w piśmiennictwie naszem, lecz wogóle w literaturze powszechnej, nie zawsze duch przyrody wolny jest od zewnętrznych łańcuchów, nakładanych nań przez poetę. I tutaj od czasu do czasu widzimy sprzęgnięcie tego ducha z obrazami, nie wynikającemi ani z zewnętrznego otoczenia, ani z zespolenia ich z czysto wewnętrzną treścią duszy ludzkiej. W tak pięknem, majestatycznej grozy pełnem malowidle, jak „Morskie Oko", harmonję potężnych granitów, odzianych płaszczami borów, błyszczących w słońcu lub poświacie księżycowej, harmonję głębi wodnej, wichrów, przelatujących nad nią, dalekiego szumu potoków, psuje wprowadzenie bóstw mitologicznych, których walki, stoczone w zamierzchłej przeszłości, znalazły zobrazowanie swoje w tym wielkim poemacie natury, w tej potężnej Mahabharacie czy Eddzie zielonego jeziora. Aluzje do jakichś ewolucyj kosmicznych byłyby tu — tak mnie się przynajmniej wydaje — bardziej na miejscu, olbrzymie wrażenie, jakie utwór ten wywiera, do groźniejszych jeszcze wzrosłoby rozmiarów. Ale ostatecznie są to drobnostki, znikające wobec innych czarownych szczegółów tych obrazów.

Nasuwa się mimowoli pytanie, jakiej metody używa El...y w traktowaniu natury? Jest to jednoczenie impresjonistycznego malowania z nastrojem w ten sposób, że poeta odtwarza nasamprzód barwami swemi otaczający go świat zewnętrzny. Niebotyczne szczyty, różnorodnemi mieniące się kolory, stosownie do pory dnia, w której je widzi oko artysty, ciemne, w mgły zasnute lasy, siklawy szumiące, limby, wy-

rosłe na skał urwiskach, wiatr, królujący na sinych krawędziach złomów — oto najgłówniejsze motywy jego obrazów.

Wprowadziwszy człowieka tym sposobem w odtworzony przez siebie świat zewnętrzny, zaczyna poeta oddziaływać na niego swoim nastrojem. A nastrój ten w treści swej różnego jest rodzaju. Widok tych wspaniałych, tych rozlicznych szczegółów, w jeden wielki zlewających się obraz, budzi w poecie zachwyt dla wieczystej myśli twórczej, wywołuje w duszy nieokreślone tęsknoty, każe tej duszy „gonić sen piękności", roznieca chęć wzlatywania ponad chmury codziennego życia, uderza w struny dumy, unoszącej się nad rzesze poziome, zajęte powszednią walką o chleb, obudza lęk przed nieznaną mocą, przed „tajnem", „nieujętem", albo wreszcie, wolny od wszystkiego, co ziemskie, „wolny" choć prawom powszechnym podległy, duch jego „ulata w sfery gwiaździste, nurza się w źródle wiecznie żywem, wiąże się i zlewa i brata z całą harmonją zaziemskiego świata". Kto chce napoić wzrok swej duszy barwami i blaskami obrazu, a właściwie szeregu obrazów, jak w kalejdoskopie przesuwających się przed oczami, ten niechaj sobie przeczyta „Kościeliska", a kto razem z poetą chce uspokoić swą duszę, chce zanurzyć ją w powszechnej ciszy, kto swój spokój chce zlać z spokojem natury, ten niech zagłębi się w przecudownej symfonji „Nocy pod Wysoką".

To głębokie zajęcie się przyrodą sprowadziło go na tory filozoficznych rozmyślań nad treścią zagadnień ogólno-ludzkich, których tak potężny wyraz znajdujemy w cyklu „Nad głębiami".

Poeta, który widział „prądy powietrznych orkanów i w błyskawicach bijące pioruny, wstrząśnienia lądów, wybuchy wulkanów i zórz północnych zakrwawione łuny" — poeta, który widział wszystkie żywioły tej ziemi, jak się nawzajem



potrącają w biegu, jak wybuchają ogniami złotemi i w nowych zjawisk powstają szeregu, jak się spychają i cisną i wiążą" — poeta ten przyznaje się, że „napróżno wyciągał dłonie, aby wszystkie te siły ułowić na przyrody łonie", próżno chciał „każdą wydzielić z wszechświata, ażeby przed nim stanęła skrzydlata i, w niewzruszone ujęta granice, wypowiadała bytu tajemnice". Więc też, chcąc „za niemi dotrzeć do tej głębi, gdzie wir pierwotnych żywiołów się kłębi", począł „zwolna ziemskich ciał budowę na jej cząsteczki rozbierać składowe".

A do jakiego doszedł tej pracy rezultatu? Oto do syntezy najgłówniejszych prądów filozofji naszej epoki, do wyłuszczania prawd następujących: Duch ludzki, jak to poeta przekonał się i na samym sobie, daremnie zatapia się w bezdenne otchłanie wszechświata; za słabym świeci on promieniem, aby mógł je rozjaśnić.

Im bardziej rośnie blask wiedzy, to mroki kosmiczne stają się coraz to większe, coraz to głębsze.

W tej nocy wieczystej czuwa tylko bezustannie Duch świata i wysnuwa z siebie nić przyszłych istnień.

Drobną cząsteczką tych bytów i my jesteśmy, poddani mocy wspólnych sił, rządzących i światem i ludźmi.

Nie ma nieśmiertelności formy, jest tylko nieśmiertelność treści.

Przeszłość nie wraca w dawnej postaci, jednak nie umiera, zmienia tylko miejsce, czas i nazwisko — jednem słowem świeże przybiera kształty.

Wszystko, co jest, w jeden wspólny spływa ocean; wszystkie byty łączy on wzajemną od siebie zależnością, dzięki której ludzie i narody odpowiadają „każdy za wszystkich, wszyscy za każdego".

Ludzkość powinna dążyć do poznania prawdy przez miłość,

a nie na drodze krwawych wybuchów, gdyż miłość jedynie odbudowuje to, co złość zburzyła.

Tak złe, jak dobre wspólną jest wszystkich zdobyczą; wszyscy uczestniczą w ciężkim dorobku wieków, wszyscy znoszą następstwa i dobrego i złego.

Człowiek jako jednostka marnym, bezsilnym jest atomem i dopiero w związku z wszechświatem rozszerza granice swego bytu, nad którym władnie śmierć. Ta atoli nie jest zabójcą, a tylko tworzycielem nowych kształtów.

Śmierć to „postępu chorąży", co „świat na nowe prowadzi tory, wschodzącym kiełkom usuwa zapory i z rzeszą istot w nieskończoność dąży". Śmierć to prąd życia, który „naprzód i wyżej" porywa z głębi bezwiedne atomy.

Wszystko łamie konieczność — smutnym jest bezsilny koniec żywota, a właściwie jego przeżywających się kształtów, ale większy smutek sprawia widok człowieka, czy społeczeństwa, gdy się pozbywają swej siły duchowej.

Prawdy powyżej streszczone, nie są dla umysłów, filozoficzne posiadających wykształcenie, nowością; Asnyk potrafił atoli, jak nikt z współczesnych pieśniarzy, ująć je w całość harmonijną i całość tę opromienić blaskiem głębokiej a porywającej wyobraźni. — „Nad głębiami" to jeden wielki łańcuch refleksji, która, w dawnych utworach El...y'ego czasem oschła i, mimo lotnych strof co do ich zewnętrznego kształtu, poniekąd ciężka, stała się tutaj prawdziwie poetyczną, w górę rwącą potęgą.

Dla rozmaitych krytyków naszych, majaczących o bezpośredniości uczucia, jako o niezbędnym warunku „prawdziwej" liryki, jest cykl sonetów tych nowym dowodem, że wszelkie formułki, stawiane poezji, mogą być dobre dla tych właśnie krytyków, ale nie dla poezji. Liryka bezpośrednia, czy „przecedzona przez filtr" refleksji, pozostanie zawsze liryką, jeżeli będzie wypływem istotnego natchnienia.



W końcu myśl poety opuszcza wyżyny spekulacji i przemieniona w uczucie, ogarniające miłością człowieczeństwo, schodzi na pole życia jednego z odłamów tego człowieczeństwa, drogiego sercu poety narodu naszego.

Cykl kończy się apostrofą do Polski, która dopóty nie zginie, dopóki żyć w niej będzie „myśl swobody, wola i godność i męstwo człowiecze".

Dziś jej byt polityczny w mogile, z której wstanie ojczyzna, choć nie taką, jaką była dawniej.

„Musi ona zatracić nie jeden rys miły i wdzięk, w dawniejszym uwielbiany czasie". Musi ona „nową postać wziąć i nowe siły i nowych wieków oręż mieć w zapasie"... „Przystrojona w królewski diadem" musi „do życia wkroczyć życia bramą", musi być inną, choć będzie tą samą".

Oto w najogólniejszych konturach system filozoficzny, społeczny i narodowy El...y'ego.

## IV.

Należałoby tutaj — zwłaszcza stronę społeczno-narodową uzupełnić bliższemi szczegółami. Ze względu jednak na jej wielkie znaczenie aktualne kwestja ta wymagałaby osobnego studjum.

Przypominam więc tylko jeszcze kilka najgłówniejszych rysów.

Przeciwko ludziom wogóle, jak i przeciw własnemu społeczeństwu zwracało się niejednokrotnie spragnione ich dobra serce poety. Raziły go chłód, jałowość otoczenia, pod którego wpływem tracił nawet wiarę w ukochane przez siebie ideały braterstwa i swobody, w tę swoją „czarodziejską baśń tęczo-

wą". Wiek XIX był dlań nauczycielem zgrozy i nicości, szyderczo patrzącym na ofiary idealniejszych uniesień i pragnień; pod brzemieniem nędzy moralnej tego „wieku bez jutra, wieku bez przyszłości", chciałaby nawet zamilknąć lutnia poety.

Własnej ojczyźnie, „frymarczącej krwią Messalinie" ciska w oczy zarzut odstępstwa od dążeń szlachetnych; krwawy rok 63, w którym sam brał udział, wywołuje w nim uczucie rozpaczy i poczucie niemocy. Satyra, zgrzyt ironji i szyderstwa rozpierają się w niejednym z jego utworów.

Atoli z biegiem czasu dusza jego do pogodnej przychodzi równowagi, tęskni, przejęta wielką miłością i ludzkości i własnego narodu, za jutrznią, któraby rozlała światło swoje po ziemi, „nowego życia spragnionej". W zgodzie z postępowemi prądami nowoczesnemi wskazuje ziemi tej potrzebę zdobycia jak największej sumy wiedzy, każe dążyć do prawdy i piękna, każe czcić w przeszłości to, co było w niej dobrego.

Otoczywszy aureolą ideje, które wywołały ruch styczniowy, stawia nam przed oczami wizję ojczyzny w groźnie odmalowanej postaci króla Lira i jako na wybawiciela z dzisiejszego upadku wskazuje na niezwyciężoną potęgę ludu. I za to należy mu się cześć największa!

## II. ADAM ASNYK

*(Wspomnienie pośmiertne).*

Umarł największy współczesny pieśniarz polski, a jedne z wielkich poetów świata, jeden z tych ludzi, którzy od razu dominujące w społeczeństwie zajęli stanowisko i stanowisku temu całem swem życiem następnem odpowiedzieli godnie i wspaniale,



Kiedy przed kilkoma zaledwie miesiącami w uroczysty obchodzono sposób trzydziestą rocznicę twórczej działalności El...y'ego, nie przypuszczano, że tak prędko zniknie nam z oczu ta postać tak charakterystyczna, że tak prędko odbiegnie nas dusza podniosła i czysta, że tak prędko zamilkną struny lutni, do ostatnich niemal dni z nieosłabioną rozbrzmiewające potęgą. Uciszyło się na wieki serce, które zawsze było z temi, „co chcą polepszyć ziemski los i przynieść szczęście tej ziemi". Zagasł wzrok umiejący przez mgły i tumany dzisiejszego życia, pełnego zwątpień i braku wiary w ideały ludzkości dostrzegać blaski nowej jutrzni, promieniste fale nowych zórz. Nie zobaczymy już kapłana, który w proroczem natchnieniu, „błogosławił nowym życia dniom; nie ujrzymy już wędrowca, co krocząc drogą cierpieniem zasłaną, śród tłumu zgnębionych „pełnych skarg i łez", „pozdrawiał pokoleń przyszłych ród", nowe dla niego wykreślając tory. Nie ujrzymy już kochanka poezji, wiernego natchnieniom, „coby w życia zdroju ukazywały nową piękną stronę, któreby naprzód biegły, w każdym boju pokrzepiać serca słabe i zmęczone". Poszedł od nas siewca „kwiatów pełnych woni", siewca, co, choć nieraz miewał chwile goryczy względem otaczającej go obojętności tłumów, miał przecież tę pewność, że posiew jego nie pójdzie na marne, że zostawi myśl po sobie i że tę myśl, po „śmierci kochać go będzie chłodna milcząca rzesza".

Nie zawsze jednak rzesza ta była dla niego obojętną; a jeżeli już dzisiaj zaledwie w kilka dni po jego zgonie, wielkie widzimy dowody miłości, otaczającej jego trumnę, składającej zwłoki jego w grobie zasłużonych obok najlepszych w narodzie, to miłość ta towarzyszyła mu niejednokrotnie i za życia, bywała hołdem, oddawanym nietylko pieśniarzowi ale i prawdziwemu obywatelowi. Imię Adama Asnyka, sądząc

po kilku wydaniach jego utworów popularnem było w znacznej części naszego społeczeństwa, jakkolwiek rozgłos swój nie zawsze zawdzięczało tym wiekopomnym kreacjom jego ducha, które go stawiają w rzędzie najpierwszych w umysłowym pochodzie świata. Z narodów obcych najlepiej znali go Czesi, a obok nich niemałą posiadał on sławę śród Niemców.

Urodzony w Kaliszu (24. października 1838), miał lat dwadzieścia, kiedy w Warszawie przygotowywały się krwawe wypadki styczniowe, mające na politycznem i umysłowem życiu naszem tak niezatarte dotychczas wycisnąć piętno. O ile rozbudzony młodzieniec, bawiący wówczas na studjach lekarskich w stolicy Polski, brał udział w przygotowywaniach powstania, wyjaśni to historyk jego życia: nie ulega jednak wątpliwości, że Asnyk pozawierał stosunki z najgorętszą młodzieżą, że dążenia młodzieży, którą margrabia Wielopolski celem ostudzenia jej zapałów pakować chciał w szeregi moskiewskie, nie były mu obcemi. Jak zapewnia jeden z wielbicieli zgasłego poety p. Ant. Kleczkowski, należący do najbliższego jego otoczenia, uczestniczył ówczesny uczeń warszawskiej akademji medyko-chirurgicznej w głośnych demonstracjach kościelnych, za co przez kilka dni przesiedział w areszcie. Bezpośrednio przed wybuchem wielkiego płomienia nie było go jednak w Warszawie, bawił w Niemczech na wszechnicy heidelberskiej. Tutaj w gronie znajomych i przyjaciół nie przestawał śledzić, co się dzieje w kraju, zwłaszcza, że już tutaj przestała go nęcić medycyna, a gorąco zajmować go jęły wszystkie objawy życia — społeczno-politycznego, objawy, które w Polsce, a specjalnie w zaborze rosyjskim przybierały charakter rozpalonych ognisk nowych haseł, nowych prądów, zmierzających do wyswobodzenia uciemiężonego narodu. Ażeby otrzymać krwawy chrzest prawdziwego syna ojczyzny, pospieszył Asnyk na wieść o rozpoczęciu



walki orężnej do Królestwa, a piękna musiała być pamięć po nim w Warszawie jeżeli dwudziestopięcioletniego młodzieńca powołano odrazu w skład rządu narodowego (za dyktatury Trauguta).

Rok 1863, tak opiwany przez ludzi „trzeźwych", musiał w umysłowości wrażliwego poety potężne wyryć ślady. Można śmiało powiedzieć, że zadecydował on o całym kierunku pracy twórczej, bo choć nastąpiły później czasy, gdzie Asnyk wyrywał się z wiru wyobrażeń, uczuć i dążeń, wywołanych powstaniem styczniowem, i zatapiał się czy to w własnem „ja", czy też w zagadnieniach ogólno-ludzkich, to przecież myśl jego, jakby pod wpływem jakiejś siły magicznej, wciąż się ku niemu zwracała czy to z wyrzutem i rozpaczą czy też z protestem przeciw historykom i politykom, nie wahającym się, zamiast dozwolonej krytyki, najhaniebniejsze na rok ten rzucać oszczerstwa.

I dla niego rok 63 był rokiem nieszczęścia, którego „krwawych czasów nie zatarły ruchliwe fale czasu", pomimo że od chwili bohaterskiego perjodu, ćwierć upłynęło wieku. I dla niego rok ten „cięży nad nami i z przyszłości narodu przez lat szeregi kroczy, widmo blade, wlokąc za sobą, jak całun zagładę". I dla niego rok ten jest pełnym grzechów, za które „Polskę z mieczem w dłoni z szat obnażono jak jawnogrzesznicę" i „z idei ją chciano odrzeć od ostatka, jakby to nie była ich własna matka". I dla niego po ruchu styczniowym pozostały nam w spadku: „grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha, bunt tych, co widząc mdlejące już ciało, śmieli doradzać samobójstwo ducha i więzy, które mocniej się nam wpiły i łzy palące... i wstyd... i mogiły..." Pomimo to jednak wie on, że rok ten był „duchową potrzebą narodu, był uprawnionym orężnym protestem przeciw niesłychanej krzywdzie dziejowej wyrządzanej Polsce. Wie on, że rok ten

był dzieckiem epoki, która „ku zmartwychwstaniu stale naprzód biegła", która „w lada koniuszym lub dworskim lokaju" nie upatrywała zbawcy ojczyzny, epoki, w której „Polska nie umiała przybierać postaci gadu, co się u stóp czołga", woląc raczej, aby synowie jej ginęli w kopalniach sybirskich, aby jej dzieci najkrwawsze ponosiły ofiary, aniżeli zniżyć się do „wchodzenia w konszachty z wrogiem, do stawiania złotych mostów pojednania, do nazywania zdrajców ojczyzny mężami stanu". Wie on, że epoka ta mimo niejednej klęski, wspanialszą była od doby dzisiejszej, tej z obliczem „nieubłaganem, lodowatem, chmurnem", tej, której „religja tchnąca grozą, drapieżniejszej siły jest apoteozą". Ta wiara w wyższość czasu minionego, czasu romantycznych wzlotów, nietylko w dziedzinie poezji ale i w życiu społecznem i politycznem narodu, musiała napełnić serce poety goryczą, zwracającą się przeciw tym, którzy epokę tę plugawią, lub na miejscu żywotnych wówczas haseł prometejskich stawiają marne obliczenia i kombinacje handlarskie: „nie możem bez goryczy patrzeć, jak chcieli ślad przeszłości zatrzeć — mówi poeta do tych „nowych ludzi", którzy wchodzą „z prądem dziejowym w przymierza, biorąc w rachubę instynkt i moc zwierza".

Tak się zapatrywał śp. Adam Asnyk na powstanie styczniowe i na jego sędziów w dwadzieścia pięć lat po rozegraniu się tej ostatniej krwawej tragedji porozbiorowych dziejów naszych, z tem zapatrywaniem zeszedł też do grobu, choć myśl o idei bohaterskich poświęceń nie odwodziła go bynajmniej od tej drobnej mrówczej pracy, niezbędnej dla cywilizacyjnego rozwoju narodu, będącego koniecznym dalszego życia warunkiem: wszakżesz umarł prezesem Towarzystwa Szkoły Ludowej, której losami aż do ostatniej chwili serdecznie się zajmował.



Po upadku powstania styczniowego, zmuszony uciekać z ziemi, napojonej krwią najszlachetniejszej części narodu, Asnyk nie wrócił odrazu do Heidelbergu, aby przerwane kończył studja, ale czas jakiś spędził w podróży po Niemczech, Szwajcarji i Włoszech. Tutaj też powstała zapewne przeważna część utworów, zawartych w pierwszym jego tomie, a nacechowanych bezbrzeżnym smutkiem, melancholją, a nawet rozpaczą z powodu zajść ostatnich.

Płynąc po zatoce w Baja, ma przed sobą niedaleką przeszłość, z której wraz z innymi wyrwał się „Niobidami", ażeby u starego dziejowego przystanąć cmentarza, popod fryzem odartym z żałoby „ciężące pochylić już głowy", aby „z własnego wracając pogrzebu", schronić się pod skrzydła bladej Hekaty i w Erebie, za brzegami Acherontu spotkać się z błądzącemi cieniami braci. Napróżno dusza poety zbacza w dziedzinę zagadnień estetycznych, napróżno zatapia się w fali myśli ogólno-ludzkich, filozoficznych i społecznych, pytając się razem z Juljanem Apostatą, jaki będzie los świata zgromadzonego pod znakiem Chrystusowym, — czy w imię tego czarnego krzyża świat się nie splami krwi strugą i wiara, co dziś niebo przybliża, ciemności nie będzie sługą. Napróżno poeta szuka ukojenia w ekstazie ascetycznej, duszę swoją zamykając w Zbawicielu. Napróżno snuje pieśń uwielbień dla babilońskiej Aszery, patronki zmysłowych wzlotów. Napróżno pogrąża się w rozmyślaniach przed odłamem Psychy praksytelesowej, w rozmyślaniach o różanym Olimpie, o czci dla cielesnych rozkwitów, o harmonji myśli, „wszędzie władnącej i bryły w jasny wkładającej porządek", o „dwóch dźwiękach złotych, chwale i wolności", o „boskim płomieniu wybuchającym z Golgoty", o „pogasłych tęczach", o „tętencie barbarzyńców", który skłócił pogodę starożytnego świata; napróżno, apostrofując „kamienną siostrę", pociesza się, że

„mirty zakwitną, powrócą motyle", że „miłość przyjdzie zwiastować jej o wiośnie", — serce otrzymawszy ciężką ranę wskutek zawiedzionych nadziei narodowych, ciągle się krwawi, a wezbrana boleść znajduje upust przedewszystkiem w mistycznego uroku pełnych, melancholijną grozą owianych obrazach „Snu grobów". Opowiada tutaj poeta słowami o kolorycie Danta i Słowackiego, o swojej wędrówce w „posępną nocy krainę", gdzie władnie jedno „nic", wielkie, uroczyste, „co się nie błyska nawet i nie chmurzy", a wędrówkę swoją przeplata złorzeczeniami przeciw „bezgłowym karłom" i „prochom podłym", przeciw ludziom, którzy „śród szyderstw słusznego wrzasku, do swych poziomów wszystko zniżyć pragną".

Taki w najogólniejszych zarysach jest nastrój poety w pierwszej dobie jego twórczości, nastrój smutny, nieraz przepojony rozpaczą, a w kwestjach społeczeństwo obchodzących, poza ogólnie wyrażonemi uczuciami, nie formułujący pragnień i dążeń piewcy w sposób, właściwy późniejszym jego poezjom.

Skończywszy — po odbytych powyżej wzmiankowanych podróżach — studja w Heidelbergu, przyjechał Asnyk z tytułem doktora filozofji do Lwowa (1865), gdzie po erze germanizacyjnej, centralistycznej swobodniejsze zaczęło zakwitać życie. Aspiracje narodowe miały jakie takie pole rozwoju i bądź co bądź po bitwie pod Sadową, doznawały pewnego zadowolenia. Poetę przestał jednak zajmować otaczający go świat zewnętrzny, zawody styczniowe zjadły jego siły, uczyniły go obojętnym na sprawy publiczne, talent, wyczerpawszy się w kierunku, który bólem mózg wysusza i ostatecznie ubezwładnia serce, zbyt żywo czujące, zwrócił się ku szukaniu nowych dróg i zawiódł pieśniarza do małego domku własnego „ja", do kapliczki uczuć mniej górnych, uczuć, z których powstają cacka artystyczne, ale nie dzieła



o przewódczej mocy, zrodzonej z cierpień i radości ogółu, z jego nadziei, z jego pragnień, z jego rozczarowań, z jego wzlotów i upadków. Opiewanie miłostek czy miłości w wierszykach niewątpliwie wdzięcznych, śliczną posiadających formę, zaprawionych bądź to pewnym odcieniem sentymentalizmu bądź też heinowską ironią, oto główny dorobek z tej drugiej doby twórczości El...y'ego.

Niebawem jednak duch poety do pierwotnych powrócił natchnień, na strunach jego lutni zabrzmiała znowu pieśń, mająca w sobie zarodki tych sił, z których ojczyzna czy ludzkość buduje sobie gmach lepszej, doskonalszej przyszłości. W śpiewaku, na chwilę oszołomionym haszyszem uczuć, na których temat wysnuto już tyle tkliwych i ckliwych dźwięków, obudził się potężny Herakles wyruszający na oswobodzenie płomienistego Prometeja. Miejsce „cichej spowiedzi" serca zajęło tytaniczne pragnienie poetyckich wybuchów, choćby przy ich ogniu serce spalić się miało z boleści. „Endymionizm" zluzowany został przez prometeizm; szukanie wrażeń pomiędzy niezabudkami i bławatkami zeszło z drogi potężnej chęci wyruszenia na bój, ażeby „śpiące wyswobodzić bóstwo, aby moc życia tchnąć w „zaklętą królewnę", marzenia o miłosnych pieszczotach przygłuszyły czy to z gorącego serca płynące wyrzuty, miotane na „frymarczącą Messalinę" na „cień bladego Baru", który się powinien przekształcić w potęgę „sen Grachów" w czyn „zamieniającą" czy też wielką wiarą i nadzieją uskrzydlone pieśni o wszechmocy wciąż naprzód dążącej myśli ludzkiej, o tej „wiedzy jasnej pochodni, którą nieść powinni młodzi", i o ludzie, który ma się stać urzeczywistnieniem snów wielkich proroków, który ma się stać wyswobodzicielem uciemiężonej ojczyzny.

Ale odtrąciwszy samolubną boleść od siebie, pozbywszy się sceptycyzmu w osądzaniu podniosłych dążeń ludzkości,

dążeń którym wiek nasz dał i daje wyraz zbiorowy w ruchach ludowych, nie od razu stanął poeta czysty i nowym a właściwie zmartwychwstałym w jego sercu ideałom bezwzględnie się poddający, cierpienia osobiste i w tej epoce twórczości, znalazły swój wyraz, ale wyraz szlachetniejszy, podnioślejszy. Boleść z powodu zawiedzionej miłości, tęsknota do opuszczonego ogniska rodzinnego, żal za utraconą wiarą dziecięcą stanowią niejeden motyw jego pieśni, nie zabijają w nim atoli przeświadczenia, o niezniszczalności szlachetnych pierwiastków, zawartych w świecie, co najwyżej przybierają melancholijny wyraz rezygnacji.

Altruizm tak się rozgościł w duszy poety, że nie było już siły, którąby mogła z niej wyprzeć miłość do ludzi i miłość przyrody, a do świątyni jego wnętrza wprowadzić znowu bóstwa nienawiści lub sytego zobojętnienia. Nie przeklinał już poeta, lecz błogosławił: rozkazując sercu, aby się uciszyło, błogosławił „nowym życia dniom"; gdy opuszczało go szczęście, nie złorzeczył, ale jak prawdziwy przyjaciel ludzkości, znajdował pociechę w myśli że zdrój czystych uciech będzie innym szumiał i inne serca poił swą słodyczą".

A kiedy od czasu do czasu wracała gorycz do niego, wypływająca z obserwacji stosunków życiowych swego społeczeństwa, stosunków, które radby był ukształtować w duchu swych marzeń idealnych, wówczas tulił się do piersi Przyrody, dla takich umysłów, jak śp. Asnyk, zawsze w sobie macierzyńskie mającej ukojenie. Jako pieśniarz przyrody, stanął zmarły w rzędzie pierwszorzędnych genjuszów świata. Zdarzało się i jemu, że obrazów natury używał jako środków do budzenia czy podtrzymywania uczuć podniosłych, wogóle jednak umiał on nietylko patrzeć na nią okiem malarza, stwarzając taki stubarwny kalejdoskop obrazów jak np. „Kościeliska", ale w jej tajemnice potrafił zagłębiać sondę myśliciela,



potrafił obcować z nią jak kochanek, potrafił z tych obserwacyj i tych zagłębiań i obcowań stwarzać nastrój poetycki, z jakim niezbyt często spotykamy się w utworach największych poetów świata. Któż nie zna tak majestatycznego obrazu jak „Morskie Oko"? Któż nie zachwycał się wspaniałą „Nocą pod Wysoką", tą symfonją ciszy, tym potężnym hymnem na cześć myśli twórczej, ulatującej w „sfery gwiaździste", nurzającej się w źródle wiecznie żywem, wiążącej się, zlewającej i bratającej się z całą harmonją zaziemskiego świata" — zdala od wrzasku i wiru powszednich o najzwyklejsze potrzeby prowadzonych przebojów, zdala od dążeń i pragnień poziomych.

Wszystkie te utwory powstały w epoce zamieszkania w Krakowie, dokąd podążył poeta jeszcze w r. 1870, opuściwszy prozaiczny, dla rozwoju poezji przysłowiowo niepodatny, a nawet zabójczy grunt naszego kochanego Lwowa. W stolicy podwawelskiej pozostał też poeta do końca swego ciernistego żywota, tutaj pochował ojca (1885), tutaj zamieszkał też w domku na ulicy Łobzowskiej, pozostałym mu z znacznego mienia ojcowskiego, które jednak dzięki różnym niepowodzeniom stopniało do takich rozmiarów, że wielki poeta zmuszony był szukać zarobku dziennikarskiego. Przez długie lata — rozpocząwszy karjerę dziennikarską już we Lwowie, był Asnyk redaktorem „Nowej Reformy"; przywiązywała go do pisma wspólność przekonań i chęć służenia na tej drodze potrzebom społeczeństwa.

W Krakowie też mieszkając, zawiedziony podobno w pierwszej, silnej miłości, ożenił się z panną Kaczorowską, którą poznał był w Zakopanem. Niestety i w małżeństwie prześladowały go losy, zaledwie bowiem rok po ślubie utracił ukochaną młodą żonę, która zmarła pozostawiwszy mu syna, dziś słuchacza filozofji. Pobyt w grodzie krakowskim prze-

rywał podróżami do Włoch, do Afryki i Indyj Wschodnich, oraz wyjazdami do Zakopanego i Lwowa, zostawszy przez krakowski odłam stronnictwa demokratycznego wybrany posłem do sejmu.

Praca obywatelska zarówno jako członka partji politycznej jakoteż prezesa Towarzystwa Szkoły Ludowej, nie wytrąciła mu lutni z ręki, nie osłabiła polotu jego wyobraźni. Utwory jego z ostatniej doby tym samym tchną czarem i siłą co i dawniejsze, a „Nad Głębiami", cykl sonetów, w których poeta zawarł w przepysznych słowach swoje poglądy filozoficzne, jest jednym z najcudniejszych kwiatów poezji refleksyjnej.

Poza liryką zostawił zmarły kilka rozpraw literackich oraz szereg dramatów, pomiędzy któremi ze stanowiska poetyckiego pierwsze zajmuje miejsce pięcioaktowa tragedja „Kejstut", będąca równocześnie politycznym manifestem duszy poety wymierzonym przeciw „Wallenrodyzmowi".

O poezji Asnyka, przepysznej pod względem formy, można powiedzieć to, co zmarły powiedział o poezji wogóle, że — trawestuję jego słowa — porzuciła ona zużyte narzędzie, odmieniła swoje koryto, i w nowych myślach, uczuciach i czynie naprzód z wezbranym prądem życia płynie i z dawnych marzeń potargane nici — przerobiła w ciszy na strój inny, świeży w którym znów serca stęsknione zachwyca nowych kochanków i nowych rycerzy.

Na ziemi, na której łany rozlewał się płomień boży, goszczący w sercu wielkiego poety, padł dzisiaj cień żałoby i smutku: wieść o śmierci Adama Asnyka przejęła boleścią wszystkich, co umieją myśleć prawdziwie i czuć prawdziwie



# SŁOWACKI

„Przed grobem niczego nie żądał, zato za grobem o wszystko się upomniał" — i bez najmniejszych już dzisiaj zastrzeżeń postawiony został obok takiego, jak Mickiewicz, genjusza. Niewielkie miał powodzenie za życia, sam był nakładcą swych poezyj, na których, zwłaszcza w pierwszych latach jego działalności poznawało się drobne tylko grono umysłów wybranych. Zaledwie jednak zmęczone zamknął oczy, niesprawiedliwa krytyka, w ślad za Mickiewiczem nazywająca pieśni jego świątynią bez Boga, umilkła, a miejsce jej zajął niemal powszechny triumfalny głos uwielbienia.

Zgodzono się na zdanie autora „Irydjona", wygłoszone jeszcze kilka lat przed śmiercią Juljusza, że nikt „tak fantastycznie nie pisał, że wygląda na króla, kiedy zacznie rozkazywać mowie polskiej, że w czarnoksięstwie stylu stanął on tak wysoko, że nikt wyższym od niego, a równym rzadko kto". Zgodzono się, że „z przedwczesną śmiercią Słowackiego społeczeństwo niepowetowaną poniosło stratę", że „w krainę cichą odszedł jeden z największych genjuszy Polski i Europy, artysta, który z szorstkiej mowy naszej utworzył dziwnie metaliczne, szklane, muzykalne narzędzie".

Niebawem kult pieśniarza Balladyny dosięgnął zenitu; nie wahano się dowodzić, że jest on „co do twórczości płodniejszy, co do wyobraźni bogatszy, świetniejszy i polotniejszy i co do rodzaju tworów swych wielostronniejszy od Mickiewicza", nie wahano się twierdzić, że nie Mickiewicz, lecz Słowacki dopiero „odrodził poezję i samego ducha narodu", że

on im „otworzył nowe, nieprzeczuwane dotychczas horyzonty".

Demokratyzujące i rewolucjonizujące się społeczeństwo, a zwłaszcza zaś młode jego pokolenie, podnosiło strofy z grobu Agamemnona do znaczenia hasła, nakazującego zrywać z niewolniczą, do wolnych polotów niezdolną przeszłością. W szalonych, zgryźliwych, piekących apostrofach do „autora trzech psalmów" widziano program działania praktycznego, w płomiennych tyradach i przysięgach spiskującego Kordjana wskazówkę, jakiej względem wrogów należy trzymać się polityki.

Zapał ten z czasem nieco się oziębił, nikt jednak nie zdołał i nie zdoła ściągnąć wartości Słowackiego poniżej istotnego jej poziomu, a streszczającego się w tem, że „Mickiewicz, on i Krasiński wzajemnie się uzupełniając, stanowią dopiero razem wzięci skończony wyraz naszej wielkiej poezji", naszej nieśmiertelnej duszy narodowej.

Obdarzony niezmiernie żywą, ognistą, kapryśną wyobraźnią twórczą, którą podsycały dość szczęśliwe z początku warunki bytu, Słowacki już jako dwudziesto i jednoletni młodzieniec, zagrzmiał rewolucyjnym „Hymnem do Bogarodzicy", wspaniałą „Odą do wolności" i namiętnym, rozhukanym „Kulikiem".

Przed oczami zabłysnęła mu zorza wolności, do uszu jego przypłynął dźwięk dzwonu, obwieszczający jej narodziny. I wołał na rycerzy, aby podnieśli głos, któryby wstrząsnął wieżycami Moskwy, ażeby wzruszył granitami Newy i spłoszył dwugłowego orła, trzymającego w szponach okowy niewoli. I ptak ten z przestrachu uleciał nad krzyże świątyń i nie mając mocy patrzeć na wolnością jaśniejące narody, uleciał w cienie północy.

I huczał dalej ten płomienisty młodzieniec, że głos potomności obwini tych, którzy zardzewiałe czczą korony, że zbawienie spoczywa tylko w ufności w własne siły, że pod mieczem ufających bojowników zachwieją się losy dumnych mocarzy, że padną do niedawna jeszcze „niebotyczne sosny królów", którzy prawo ludu lekkomyślnie podeptali.



Uwielbiający Wallenroda, a niebawem dotarłszy do jego pierwowzorów, do pieśni albiońskiego wieszcza, który na kilka lat przed temi pierwszemi debjutami naszego pieśniarza znalazł śmierć bohaterską pod Missolonghi, Słowacki odrazu, w pierwszych już tomikach, zaznaczył dobitnie stosunek swój do świata i jego urządzeń. Stosunek ten zmieniał się później w szczegółach, w zasadzie atoli pozostał tym samym, zatrzymał charakter, ujawniony w Mindowym, i w Marji Stuart, i w Arabie i Mnichu i Hugonie, Bieleckim, Żmiji i Lambrze. Najgłówniejszemi charakteru tego cechami była niepohamowana chęć walki z filisterją i wszelkiego rodzaju niewolą, wyrażającą się czyto w dogmacie religijnym czy w więzach towarzyskich, czy w kajdanach zaborczej polityki.

Nie było wówczas Zarathustry Nietschego, który z kultu silnych jednostek stworzył jedną z ewangelij społecznych, często bardzo wygodnych dla natur egoistycznych, tyrańskich, a Słowacki zasadę tego kultu — mając pod pewnym względem poprzednika w Byronie, uczynił treścią swego poglądu na świat, uczynił treścią przeważnej części swych poetyckich utworów. Miał pogardę dla bezmyślnego, leniwego tłumu, natomiast wielbił bohaterów, czcił umysły potężne, nieokiełznane, depczące w pochodzie swoim wszystko, co mogłoby im stanąć na przeszkodzie, choćby to były największe według naszych wyobrażeń prawa, wierzył, że tylko takie umysły świat przekształcają, że tylko tacy bezwzględni, przed krwią a nawet zbrodnią nie cofający się bojownicy porywają ludzkość i wiodą ją do krainy światłości, do krainy, gdzie ludzkość ta dosięga szczytu swego rozwoju.

Sam siebie uważał, za jedną z takich natur niemal demonicznych i „stąd to jego odosabnianie się od ludzi", stąd to szukanie samotności, stąd wreszcie to jego późniejsze zatopienie się w głębokich mrokach mistycyzmu.

Niewątpliwie, poeta ogromnego talentu, a takie posiadający wyobrażenia o świecie i wyobrażeniom tym natchniony dający wyraz w swej pieśni mógłby wywrzeć wpływ niezmiernie szkodliwy, mógłby stać się apologetą wszelkiego występku, jeżeli tylko ten występek jest emanacją duszy, silniejszej od przeciętnego tłumu.

Atoli od zboczenia na taką niebezpieczną, ze stanowiska dobra społecznego wprost zbrodniczą drogę ratowało Słowackiego to, że był synem narodu uciemiężonego, i do tego narodu, który niemal w oczach poety dawał dowody bohaterskich, nadludzkich wysiłków.

Nie jest to paradoksem. Kult jednostki zmienił się w najdojrzalszych utworach Juljusza w kult dusz silnych, szlachetnych, w kult Kordjanów, Anhellich i Królów-duchów, w kult tych, którzy umieją nadludzko cierpieć i nadludzko walczyć dla tego, ażeby świat był zbawiony, ażeby, jak mówi, nie był opasły i — po filistersku — zdrowy.

Rewolucyjność — nie ta, której potężna muzyka, opiewająca rwanie pęt narodowej niewoli, brzmiała w natchnionym „Hymnie do Bogarodzicy", ale to wyłamywanie się jednostki z karbów moralności społecznej, nie znalazło w społeczeństwie oddźwięku.

Odczuł to Słowacki, a znajdując jeszcze bodziec w wewnętrznej potrzebie współzawodniczenia z autorem trzeciej części Dziadów, rzucił „w otchłań milczącą" swego Kordjana. Podobał się poemat bezimienny, przypisywany Mickiewiczowi, poemat, w którym bajronizm ustąpił miejsca rewolucyjnemu



patrjotyzmowi, odpowiadającemu zupełnie nastrojowi, jaki naówczas panował w naszem społeczeństwie.

Dusza poety zaczęła się krystalizować pod urokiem przyrody szwajcarskiej; w dolinie Grindelwaldu, u stóp wspaniałego, wiecznemi lodami pokrytego Wetterhornu, w Wengernalp naprzeciw niebotycznej, białej Jungfrau, nad brzegami czarującego jeziora Czterech Kantonów, śledził Słowacki „harmonję, która wszystko łączy, nalewa jednym kolorem; zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękami natury". Szarpiąca analiza ustąpiła miejsca kojącej syntezie i powstała pieśń, o której powiedział Krasiński, że „nic podobnego niema w żadnym obcym języku i że trzeba być bezczelnym, by brać się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juljusza".

I rzeczywiście pod względem malowniczego odtwarzania obrazów przyrody stoi na równi z poematem „W Szwajcarji" chyba tylko Shelleyowski „Alastor", a pod względem subtelności uczuć wspaniały „Epipsychidion" tego samego pieśniarza.

Ale przedtem jeszcze, przed Szwajcarją, powstał utwór dowodzący, że nasze hasła o poezji symbolicznej nie są nowemi, że my wszyscy, twierdzący, iż sztuka wówczas tylko będzie miała znamiona prawdziwego życia, jeśli będziemy umieli dać jej głębię perspektywy symbolicznej, że my wszyscy do pierwotnego powracamy źródła, z którego pełnemi haustami czerpali Krasiński i Słowacki.

Krasiński był Słowackiemu wzorem, był mistrzem, którego uczeń prześcignąć nie zdołał, wprowadzając niejednokrotnie zamiast symbolów, pierwiastki allegoryczne.

Kordjan i Anhelli, utwory napozór tak odmienne — zwłaszcza co do formy, mimo to związane są ze sobą bliskiem bardzo pokrewieństwem: matką ich rzeczywistość, której

muza Słowackiego tak niechętnie się dotykała, nie chcąc budzić swych w słonecznych promieniach wykąpanych skrzydeł — rzeczywistość cierpienia i walk narodu naszego.

Ale jeżeli w Kordjanie słychać groźną klątwę na zdrajców i ciemiężycieli, to Anhelli wędrujący w blaskach zorzy północnej po nieprzebytych, śnieżystych obszarach symbolicznego Sybiru, jest upostaciowaniem męczeńskiej ciszy, męczeńskiej niemal rezygnacji, a równocześnie dźwigającem ciężkie brzemię zwątpienia co do przyszłości narodu oraz ściganem eumenidami pytań, gdzie szukać środków i jakich, aby naród ten zbawić.

Nie zadawala go ani graf Skir, przedstawiciel kontuszowej szlachty, ani brat Grachów, żołnierz Skartabella, podnoszący komunistyczny program podziału ziemi, „wolności chłopów i równości szlachty z żydami i cyganami" do wyżyn jedynie zbawczego narodowego hasła, nie widzi też szczęścia miljonów w modlitwie księdza Bonifata, każącego iść i ginąć w spokoju a ciszy, jak szli i ginęli pierwsi chrześcijaństwa męczennicy.

Nie widzi szczęścia — ale przecież zasadniczo stoi może najbliżej tego księdza, kiedy wbrew temu, czem tak donośnie grzmiał w Kordjanie, zdaje się szukać odkupienia w spokojności, w zerwaniu z walką orężną, w poddaniu się losowi.

I tutaj doszukalibyśmy się może pierwszych drgań mistycyzmu, który w kilka lat później pochłonął tego poetę o śmiałym, niezależnym poglądzie na świat, tego jednem słowem człowieka swobodnego, pełnego samowiedzy bojownika za najszlachetniejsze dobra ludzkości.

Ale teorja „spokojnej ofiary", wyrażona w symboliczno-allegorycznym Anhellim, nie miała trwałych podstaw w płomiennej duszy Słowackiego.

W tym samym okresie „fantastycznie nastrojona" lutnia jego uderzyła w ton, wywołujący rumieniec wstydu na twarzy



ludzi, spokojnie dźwigających łańcuch niewoli. Rewolucyjny ten, pod względem poetyckim na najwyższe szczeble wspinający się manifest, wydobyty z piersi poety, którego losem było „na grobowcach siadać i szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych i senne królestwa posiadać, nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych, albo umarłych", — rewolucyjny ten manifest podobny jest do szalonego wichru, niszczącego wszystko to, co jest zmurszałe i słabe. Poeta rzuca rękawicę narodowi swemu, że cierpliwie znosi kajdany, głosi, że Polska ma w sobie pierwiastki szlachetne, zdolne zamienić ją w „jeden wielki posąg, tak hartowny, że w gromach nie pęknie", ale pierwiastki te przygłuszone są niewolą, „duszę anielską więzi rubaszny czerep", duszę, „łudzoną błyskotkami" i dzięki tym błyskotkom zamienioną w pokorną służebnicę ciemiężców. Nie dziw, że poemat, kończący się namiętnem wezwaniem: „Szczeknij z boleści i przeklinaj syna" — znalazła obok namiętnych wielbicieli, zażartych także przeciwników. Dla jednych była to orgja szalonego gniewu człowieka „miotającego się bez pamięci na wspólną matkę naszą, której syn winien ręce całować, choćby nawet grzeszną była". Dla drugich myślących zbyt po profesorsku, odznacza się utwór ten „brakiem prawdy w wyrażeniu, idei i uczuciu". Dla innych znowu był „wypływem niepohamowanej pychy, którą poecie już przebaczono, ale która nie przestanie napełniać nas smutkiem". Wreszcie głos ludzi, umiejących wnikać w tajniki duszy twórczej, orzekł — i słusznie — że „tak wspaniałej i głębokiej skargi na upadek ojczyzny nie pisał żaden z poetów naszych".

Realniejsze, powiedziałbym, praktyczniejsze i dla mniej wytresowanych mózgów przystępniejsze kształty przybrał protest przeciwko spokojnej ofierze Anhellego w wspomnianym już wierszu do autora trzech psalmów, Zygmunta Kra-

sińskiego. Utwór ten należy do gatunku poezji politycznej i przesiąknięty jest duchem rewolucyjnej demokracji.

Walczy tu poeta z zarzutami, czynionemi ludowi, proroctwa o buncie nazywa majaczeniem, w chorym mózgu karmazyna wywołanem karmazynowemi firankami, i z tą samą prawie mocą słowa, co w grobie Agamemnona, aczkolwiek więcej retoryczną, niż poetyczną, wyznaje, iż „zawsze miał tę pokorę, że żadnego nie klął ruchu", z tą samą potęgą wyrzuca Krasińskiemu, iż „naród hasła czeka, a krzyk pierwszy z ust człowieka był okropnym krzykiem strachu".

Przemawiał tutaj nie melancholijny tułacz po stepach sybirskich, ale natura — powiedziałbym — maratowska, będąca ucieleśnieniem gromu przeciwko spokojnemu zginaniu karku pod jarzmo społecznej, czy politycznej niewoli. Huczał tutaj bojownik nowych form życia, w dzisiejszych, powszechnie panujących pojęciach prawie że demagog, dla którego szlachta „szkodliwą jest nawałą, formą przeznaczoną na zniszczenie", na ustąpienie miejsca innym świeższym, zdrowszym czynnikom społecznym.

„Formuła" — mówi Słowacki — kuta od lat tysiąca, gniecie dotychczas, aczkolwiek jest spróchniała" i dlatego trzeba użyć gwałtu na nią. Ten gwałt w socjologji naszego poety zupełnie był uprawniony według niego myśl boża schodzi nietylko z aniołami, „czasem Bóg ją we krwi rodzi, czasem zsyła przez mongoły".

Protest ten, napisany w czasie, gdy Słowacki stał się zwolennikiem Towiańskiego i pogrążył się w mistycyźmie, mógłby na pierwszy rzut oka wywołać zdziwienie, gdyby wyobrażenia w nim zawarte nie stały w rzeczy samej w bardzo bliskiem pokrewieństwie z jego historjozofją, tak, jak się ona ujawniła najwspanialej w Królu-Duchu.

Że tragiczne wypadki w r. 1846, straszna, obcą ręką wywołana rzeź galicyjska, wstrząsnęły poetą, jest to kwestją



bardzo zrozumiałą i potworną byłby on miał duszę, gdyby tak nie było. Buntu chłopa tarnowskiego przeciw szlachcie nie mógł Słowacki uważać za naturalny opór przeciw teorji spokojnej ofiary, za opór, który stanowi też zasadniczą myśl *Lilli Wenedy*. Wyszedłszy z hipotezy o najeździe obcych plemion na spokojne szczepy tubylcze, przeciwstawił najeźdzcemu Lechowi i jego ludom spokojny, dobry, łagodny naród Wenedów, ginący właśnie dlatego, że był spokojnym i łagodnym, że — analogicznie do rad, jakie w Anhellim daje wygnańcom ksiądz Bonifat, szedł na śmierć dobrowolnie, bez oporu, że stracił wiarę w swą przyszłość, że umie tylko śpiewać i marzyć, a nie umie walczyć, nie umie krwi przelewać.

Nie trzeba atoli sądzić, że Słowacki, skazując w „Lilli Wenedzie" cały naród na wymarcie, dał nam obok protestu przeciwko ofierze spokojnej także pieśń rozpaczliwego zwątpienia w przyszłość. Jest w tem, skazanem na wymarcie plemieniu antyteza Lilli Wenedy, płomienna, do strasznej burzy podobna Róża Weneda, która, zamiast spokojnej lutni, dzierży krwawą pochodnię — pochodnię siły, hartu i nieugiętej dumy. „Kto konając, uwierzy we mnie — mówi ta wróżka tytaniczna — tego ja zemszczę lepiej od ognia i wojny, lepiej, niżeli sto tysięcy wroga, lepiej od Boga!"

„Lilla Weneda" jest ogniwem łańcucha dramatów legendowych, śród których najpierwsze miejsce zajmuje „Balladyna" poemat, skrzący się wszystkiemi ogniami najfantastyczniejszych, najcudowniejszych feeryj Szekspirowskich, a obok tego posiadający w sobie najwięcej może tragizmu. Utwór to, jeżeli weźmiemy jego stronę psychologiczną, zupełnie nowoczesny — możnaby powiedzieć, że jest to zaprzeczenie wolnej woli, jako czynnika decydującego w życiu ludzkiem; logika psychiki jest tu prawie zupełnie wykluczoną. Na jej miejscu stoją tajemnicze, nieznane człowiekowi, od

jego woli, od jego rozumu niezależne potęgi, miotające tą wolą i tym rozumem jak liściem, który wicher oderwał od drzewa nadbrzeżnego i unosi go na spienione fale rzeki ogromnej. „Ludzie — powiada Małecki — rachują tutaj i działają, pajęcze zaś ich planów sieci wiatr co chwila wikła i rwie przypadek; gdy raz się potknęli, coraz dalej w otchłań bezdenną popycha ich logika wypadków, fatalne własnych czynów złych następstwa; dodajmy jeszcze demonizm, a niekiedy udział w sprawie dziejowej palca bożego — a otrzymamy sumę krzyżujących się czynników, których wzajemne oddziaływanie wywiązuje się w sposób niespodziewany i przechodzący granice pojęcia ludzkiego".

Palec boży w kształcie pioruna zabijającego Balladynę, jest kawałkiem tej czerwonej nici mistycyzmu, przewijającej się we wszystkich dojrzałych utworach Słowackiego — mistycyzmu, który popchnął Słowackiego do zajęcia się hiszpańskim poetą Calderonem — mistycyzmu, który widzimy w „Śnie srebrnym Salomei", a który najpotężniej ujawnił się w historjozofji Króla-Ducha. Utwór pełen to wybranych piękności poetycznych, jakkolwiek moralność jego sprzeciwia się teorjom o prowadzeniu ludzkości do szczęścia za pomocą środków łagodnych, sprawiedliwych. Kult bohaterskiej jednostki dochodzi tutaj do gloryfikacji tyrańskiwa — nadczłowiek Zarathustry poznałby się tutaj w niejednym szczególe. Salwuje atoli Słowackiego fakt, zaznaczany w poemacie tym niejednokrotnie bardzo dobitnie, że uwielbienie dla bohaterów, dla ludzi wielkich i ich okrucieństw, uwarunkowane jest zawsze celem bardzo podniosłym: nie uwielbia ich Słowacki dla nich samych, ale dlatego, że oni zbawią ludzkość i Polskę — choćby nawet uciekali się do środków barbarzyńskich, gwałtownych, do wyrzynania, jak Popiel z Króla-Ducha, choćby najbliższych.



Wyobraźnia Słowackiego, niezmiernie bogata, błyskotliwa, ale i głęboka, umiejąca odtwarzać i rzeczy realne — jak to widzimy np. w potężnym „Ojcu zadżumionych" — była mimo ogromnej swej siły niezawsze samodzielną, choć być nią nie potrzebowała. Poeta brał zwykle pomysły już gotowe, ale obrabiał je na swój sposób, dlatego też bynajmniej do talentów naśladowczych w ścisłem tego słowa znaczeniu zaliczyć go nie można, boć i Szekspir czerpał całą garścią z tematów już gotowych, ale również w opracowaniu nadawał im piętno własnej wyobraźni, własnego ducha.

Fantastyczność, bujność natury Słowackiego, natury, która obok Grabca i Goplany stworzyła czarujące: „Smutno mi Boże", a która tak kapryśnemi płynie falami w Beniowskim, ta fantastyczność nie przeszkadzała mu, zwłaszcza pod koniec życia — zajmować się sprawami realnemi, jak np. myślą o wyswobodzeniu ludu polskiego z pod jarzma pańszczyźnianego, nie przeszkadzała w prześlicznym testamencie wołać do żywych aby przed narodem nieśli oświaty kaganiec.

Człowiek, który czując się bliskim skonu, z serdecznem powiedział uczuciem: „żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami, nikt mi, kto szlachetny, nie był obojętny", człowiek ten zasługuje na to, abyśmy równo serdecznem uczuciem otaczali jego pamięć.

Syn cierpiącego i walczącego narodu, śpiewający, że „dla ojczyzny sterał swoje młode lata, a póki okręt walczył, siedział na maszcie, a gdy tonął, za okrętem poszedł pod wodę", zasługuje na to, aby ojczyzna była mu wdzięczną.

Nauczyciel i piewca, który Jezajaszowym wołał głosem: „Niech żywi nie tracą nadziei, a gdy trzeba, niech na śmierć idą pokolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec", zasługuje na to, aby ci żywi go słuchali.

# O KONOPNICKIEJ

# KONOPNICKA JAKO POETKA SPOŁECZNA

Chcąc mówić o Marji Konopnickiej, jako poetce społecznej, nie mam oczywiście zamiaru dotykać wartości artystycznej jej utworów, ograniczę się do wyłączenia z nich tego, co w pierwszym rzędzie zyskało jej sławę powszechną, co nazwisku jej wyrobiło popularność wśród mas najszerszych, popularność, pod względem której współzawodniczy z nią chyba jeden tylko Henryk Sienkiewicz.

W ostatnich dniach, kiedy w sposób iście królewski czczono dwudziestą piątą rocznicę jej — że użyję wyrazu dziennikarskiego, który tak często obijał nam o uszy — rocznicy zaślubin z poezją, można było zauważyć dwa charakterystyczne fakty: z jednej strony obwołanie Pani Konopnickiej urzędową niejako poetką proletarjatu, z drugiej zaś strony usunięcie się od uroczystości jubileuszowych sfery klerykalnej, reprezentowanej przez tutejszy „Przedświt".

Otóż na samym wstępie wypada mi zaznaczyć, że Konopnicka nie może być nazwana poetką proletarjatu, jeżeli ostatni ten wyraz rozważać będziemy ze stanowiska utartego dziś znaczenia polityczno-społecznego, i że dalej wspomniane warstwy klerykalne nie miały najmniejszego powodu do tego rodzaju milczącej bardzo wygodnej demonstracji, ponieważ w ..... mimo pewnych nawet bluźnierstw nie ma ani jednej strony, któraby zasadniczo rozbieżny stanowiła czynnik z pojęciami chrześcijanizmu. Przeciwnie: poezja p. Konopnickiej ma duszę wielce religijną — i na każdym prawie kroku daje ona dowody pewnego

nawet czysto katolickiego sposobu zapatrywania się na sprawy najwyższe, albowiem w pierwszych zwłaszcza poezjach, bo w późniejszych spotykamy się z szlachetnym panteizmem — przypisuje ona bóstwu atrybuty niemal ludzkie, atrybuty samodzierżnych królów, od których woli zależy uregulowanie nieznośnych, niesprawiedliwych stosunków społecznych, a którzy tego niewiadomo z jakiej przyczyny uczynić nie chcą.

Niema ani jednego przykrego objawu w życiu, któryby nie nasuwał jej myśli o Stworzycielu, Rządcy i Sędzi świata: fakt, że ludzkość nie umiała dotychczas wyrzucić z łańcucha swego bytu ogniwa wojny, stwarza w poetyckiej wyobraźni jej płomienny obraz Boga w postaci gromu, burzy i błyskawicy i nasuwa jej pytania, które katolikowi powierzchownemu ..... mogą wydawać się buntowniczemi, które jednak w rzeczywistości nie są niczem innem, jak tylko bólem naiwnie wierzącego dziecka, że Ojciec, którego dziecko to kocha nie troszczy się po ludzku o swoje stworzenie, że prawdzie głośnego nie daje krzyku, że obojętnie patrzy na to, jak z trudem i mozołem zdobywamy sobie wiedzę, że wiekom orlich nie daje skrzydeł w dążeniu ku dalekiemu ideałowi, że pozwala, aby ludzkość w pochodzie swoim ustawała i traciła swe plony, że mdlejącej z pragnienia światła nie każe pić blasków słonecznych, że w zmierzchy dziejowe kroczy po omacku „krwawiąc piersi i głowę".

A po tych i po podobnych wyrzutach następuje zwykle pośrednio, lub bezpośrednio wypowiedziana prośba błagalna, ażeby przecież ten Stworzyciel, Rządca, Sędzia i Ojciec zlitował się nad dolą świata, ażeby ludzkości zanurzającej się w głębinach dozwolił wyjść z pożądanemi skarbami, ażeby ludzkości pragnącej szybować ku słońcu rozpętał skrzydła.

Prośby te wypowiada poetka niejednokrotnie w formie wykrzyknika, w formie nieokreślonego westchnienia, ale



właśnie te wykrzykniki, te westchnienia właśnie wskazują na to, że bunt jej duszy nie wypływa z bezdennego pesymizmu, który uznając, że wszystko złem być musi nie szuka pośrednictwa żadnych wyższych instancji, bo nie wierzy w ich moc, w ich siłę, bo nie wierzy w nie sama — bunt p. Konopnickiej wypływa z wiary w te instancje, p. Konopnicka nie jest pesymistką.

Nie mamy prawa naturalnie doszukiwania się pobudek, dlaczego przeważny nastrój poezji Konopnickiej ma charakter społeczny: widocznie taki już jest nastrój jej duszy, jeżelibyśmy jednak pragnęli odpowiedzieć sobie choć w przybliżeniu dlaczego społeczny nastrój ten ma taki właśnie kierunek, taką właśnie barwę, to zdaje mi się, nikt nam nie odmówi prawa szukania źródeł pierwszych jej emocyj w czasie, w którym przyrodzone skrzydła jej do tak rozległego i tak niejednokrotnie wysokiego rozwinęły się lotu.

Epoka, w której p. Konopnicka dojrzewała, odznacza się wielką nienawiścią do poezji. Po pogromie roku 63, kiedy na społeczeństwo nasze padły nowe klęski, najszlachetniejsze skądinąd umysły skłonne były do szukania przyczyny tych klęsk w przewadze uczucia nad trzeźwym rozsądkiem, a że widocznem ucieleśnieniem tego uczucia w umysłowem życiu narodu jest sztuka, a przedewszystkiem poezja, dlatego też wszystko złe, które nas spotkało zwalano na nią, tem bardziej, że nasza polska poezja romantyczna była najsilniejszem, najpotężniejszem ucieleśnieniem uczuć i pragnień narodowych. W prasie zwłaszcza warszawskiej tak zwanej postępowej roiło się od brutalnych na poezje napaści; każdy objaw ducha, odbiegający od literackiej gloryfikacji inżynierów, właścicieli kantorów bankierskich, porządnych, pracowitych dzierżawców, identyfikowano z czułem śpiewaniem o makolągwach i gilach, a już kiedy pozytywiści spopularyzowawszy na gruncie naszym jakąkolwiek teorję naukową i jakikolwiek wywarłszy

wpływ na swoich czytelników, chcieli wyrazić triumf z powodu „wytrzeźwiania" się społeczeństwa, to wyrażali go w wykrzyku, że „poezja zdradziecka wytrzeźwionych umysłów oczadzać już nie będzie!"

W tej barbarzyńskiej na poezję wyprawie zapomnieli jednak o drobnostce — mianowicie o tem, że poezja jest integralną cząstką duszy zbiorowej, że na chwilę można ją wygnać z przybytku ludzkiego, ale ubić jej nie można. To też poezja powróciła.

Prawda, że w pierwszych chwilach odczuto potrzebę zamykania w rytm i rym pewnych haseł użytkowych, prawda, że nawet taki twórca z Bożej łaski, jak Asnyk, miewał chwile w których odbiegał od snu grobów, od marzeń w zatokach bajońskich, a natomiast analogicznie do owych osławionych wierszy o kielni i młocie ćwierkał o doniosłości postępu — że trzeba z żywymi naprzód iść, atoli niebawem poezja zrzuciła ze siebie fartuszek służebnicy, odwinęła napowrót zakasane rękawy praczki i przybrawszy się znowu w majestatyczny płaszcz, którego ludzie tak zwani trzeźwi, oplwać nie mogą, stała się znowu tem, czem jest, wspaniałą, cudotwórczą królową.

Mieszaniną służebnicy i królowej były pierwsze poezje p. Konopnickiej. Obudził się w niej talent wielki, rwąc ją do lotów podniebnych, a równocześnie przesiąkała mimowoli atmosferą otoczenia. Miała w duszy swej zawiązki szczerej, nieszczęściami narodu głęboko dotkniętej obywatelki — bo każdy prawdziwy poeta jest obywatelem — szukała dróg, któreby naród z nieszczęść tych wywiodły i drogi te znalazłszy w ludzie pracującym, lud ten uczyniła istotnym bohaterem swej pieśni.

Równocześnie jednak — i w tem szukać należy pewnych pierwiastków służebniczych — usiłowała rozlewne morze swych wielkich uczuć społecznych zamykać w ramy formuł i formułek społecznych. Na szczęście jednak formułki te okazują się przy głębszem wniknięciu w jej twórczość, zwykłą, naturalną zupełnie daniną dla prądów czasu, zwykłemi ostatecznie dość rzadkiemi, dość wąskiemi przyczepkami, ażebyśmy nie mieli prawa mówić niemal wyłącznie nie o chłodnych, wyrozumowanych, do pewnych ściśle określanych systemów zmierzających zasadach, zaczerpniętych z pierwszego lepszego podręcznika nauk socjologicznych, ale o wielkich uczuciach społecznych.



Fakt, że p. Konopnicka nie była na obchodzie, urządzonym dla niej przez tutejszą partję robotniczą, nie może rzucić cienia na jej odczuwanie gorżkiej doli ludu pracującego, nie może podać w wątpliwość prawdy, że pomiędzy twórcami współczesnymi ona odczuwaniu temu najrozleglejszy, najwszechstronniejszy dała wyraz, i że wyraz ten najbardziej jest zbliżony do ducha przyszłości, obwieszczającej nam emancypację tego ludu. Rewolucjonistka w duszy, ma jednak lęk przed wichrem mocnym, który ma przyjść i wstrząsnąć światem i widząc krzywdy wyrządzane ludowi przez możnych, nie posiada jednak odwagi wypowiedzieć słowa, że i nienawiść dla krzywdzicieli może w pewnych chwilach mieć uprawnienie — przeciwnie, samotna idąc wśród nocy ducha nienawiści przeklętym nazywa — a w walce ściśle określonych stronnictw politycznych, zachowawczych, czy radykalnych widzi równocześnie ducha wolności i ducha zdrady i dlatego haseł nie szuka jak mówi ani po prawicy, ani po lewicy świata.

Z tego jednakowoż nie wynika, ażeby nie widziała zbliżającego się gromu pomsty, aby nie widziała, że z łez niewolników, i z krwi ich i potu wieki utworzą, jak z kropelek wody ogromną, czarną chmurę piorunową, która pożarem ogarnie narody — z tego nie wynika, aby nie słyszała odgłosu dalekiego grzmotu — aby słysząc go nie wołała: To przyszłość idzie!

# NASZ LUD

Gdyby wyrazy „prawdziwa biesiada literacka" nie należały do tak bardzo już zużytych, tak często nadużywanych frazesów, to byłyby one może najodpowiedniejszemi do określenia wrażeń, jakie liczna publiczność wyniosła z onegdajszego odczytu p. Konopnickiej.

Jeżeli już samo nazwisko znakomitej poetki posiadało urok przyciągający, to cóż dopiero powiedzieć o tak niezmiernie aktualnym temacie jak „nasz lud" i to zwłaszcza dzisiaj gdzie lud stał się niemal punktem środkowym naszego życia publicznego. Głębokie współczucie, którem p. Konopnicka otaczała i otacza w przepięknych poetyckich utworach swoich prostego chłopa, tego oracza i siewcę przyszłości, powszechnie jest znane — to współczucie zaliczano też do najgłówniejszych czynników, wysuwające ją na jedno z naczelnych miejsc w naszej poezji.

Zarzucano p. Konopnickiej idealizowanie ludu, twierdzono niejednokrotnie, że malując duszę chłopską i wyciągając z tej duszy horoskopy przyszłości całego narodu, posługuje się poetka zbyt słonecznemi barwami, zbyt wielkim daje się powodować optymizmem: onegdajszy odczyt mógł był najupartszych przekonać sceptyków, że prelegentka patrzy na lud nasz trzeźwemi oczyma, co więcej, że zapatrywania jej na masy ludowe — co do ich stanu dzisiejszego — są może nawet zbyt mało wlewające otuchy. Spróbujmy zapatrywania te w najgłówniejszych streścić zarysach.

Powiedziała p. Konopnicka w ciągu odczytu swego, że dawniejsi historycy czy kronikarze rozpoczynali rzecz swą od początku świata; dla zachowania ciągłości zacznijmy i my streszczenie nasze ab ovo.

Otóż na wstępie wywodów swoich — nawiasem powiedziawszy — w przepysznej wygłoszonych formie, zaznaczyła prelegentka, że gdy uczeni innych narodów skierowywali badania swe nad ludem ku fizycznej stronie przedmiotu, to u nas, przy małem stosunkowo zainteresowaniu się zagadnieniami społecznemi, pozostawiam stronę tę na uboczu, zajmują się wyłącznie duszą ludu, jego umysłowością i jego charakterem. Pomimo to jednak, a może w części dlatego właśnie lud pozostał u nas czemś nieznanem, czemś obcem. W ogólności stosunek nasz do ludu wciąż jeszcze świadczy o wielkim rozłamie tego, co powinno być sharmonizowane, o przepaści, dzielącej dwie różne od siebie części społeczeństwa, części, które jednolitą stanowić powinny całość. Rozłam ten, różnica ta istnieje nietylko w sferze interesów ekonomicznych ale i w dziedzinie zjawisk moralnych i umysłowych; rozłam ten tak się uzewnętrznia w społecznem życiu naszem, że możnaby go nazwać stanem wzajemnego przeszkadzania sobie.

Szukając przyczyn tego rozłamu, a idąc dalej — bierności, nieruchomości i obojętności dla jutra, znamionującej zdaniem prelegentki masy ludowe, nakreśliła p. Konopnicka w treściwy, a piękny sposób obraz momentów dziejowych, które wywołały przepaść dzielącą lud od nieludu. Przyczyn tych pełno jest nietylko w naszem stuleciu i w wieku poprzednim, sięgają one korzeniami swemi w daleką przeszłość, jakkolwiek im bardziej cofamy się myślą wstecz, tem większą znajdujemy społeczeństwa jednolitość, będącą charakterystycznem piętnem w życiu pierwotnych szczepów i ludów słowiańskich. Ludy te i szczepy nie znały tego rozłamu, jaki dzisiaj na nieszczęście narodu naszego istnieje między nami.

W krótkiem streszczeniu sprawozdawczem niepodobieństwem byłoby wiązać za panią Konopnicką ogniwo za ogniwem tego wielkiego łańcucha historycznego jaki roztoczyła przed nami prelegentka, zresztą daleko ważniejszą dla nas doko-

naną przez nią charakterystyką dzisiejszego ludu naszego. Zaznaczyć tylko wypada, że czynniki historyczne składały się w pierwotnem państwie polskiem na ujednostalenie społeczeństwa: weszło ono za Bolesławów na drogę zbawiennego postępu i potrzeba mu było tylko „chcieć dopomóc, albo przynajmniej nie chcieć mu przeszkadzać" aby dojść do rezultatów odmiennych, aniżeli te, które w niekorzystny dla nas sposób ujawniają się w dobie współczesnej. Ustawodawstwo Olbrachtowe wydzielające przepełnioną miarę przywilejów stanowi rycerskiemu, przykuwające lud do ziemi, złamało naród, a ta jego część, „która nie chciała położyć granicy swojej przewadze ani się zespolić z masą ludu dla dobra kraju, lud ten odepchnęła, a potem zdeptała".

Logiką faktów z zewnętrzną stroną tego rozłamu postępowała także i wewnętrzna, psychiczna strona dziejów. Szlachta zaczęła się coraz to bardziej wyodrębniać nie tylko pod względem takich zewnętrznych objawów jak strój i język, ale także pod względem obyczajów i umysłowości. Zarzucano wszystko, co było znamieniem ludu, a przybierano to, co mogło odróżnić pana od sługi. Wolna od przymusowej pracy, posiadająca zbytek środków materjalnych, mogła szlachta oddać się swobodnie kształceniu swej duszy, nabywaniu tych choćby towarzyskich przymiotów, które ludowi z natury jego służebności, z natury nałożonego nań jarzma, musiały stać się niedostępnemi. Podczas gdy formy panów stawały się coraz gładszemi, lud zamknięty przymusem w ciasnem kole swych współtowarzyszy niedoli, zachował i wykształcił swoje cechy pierwotne: dawał folgę gwałtowności swych uczuć, rubasznością zabarwiał swe obyczaje, w sferę towarzyskich stosunków z równymi sobie sługami wprowadzał zmysłowość. Tam u góry rozwijała się coraz większa dworskość, tu u dołu, kwitło w całej pełni pierwotne prostactwo,



którego złagodnieniu sprzeciwiały się istniejące, niezmiernie dla ludu uciążliwe warunki.

Ciężkie te warunki nie zabiły jednak w ludzie uczucia, niedola przytłumiła je, wpychała je w głąb duszy, skąd niejednokrotnie wybuchały — jak pięknie powiedziała prelegentka — pieśnią i łzami. Ale uczucia te przybierały także — jak zaznaczono wyżej — formy gwałtowne: lud łamał obowiązki swoje, dopuszczał się nawet zbrodni; ale to samo powiedzieć trzeba i o szlachcie, której dzięki szczęśliwszym warunkom przecież łatwiej było „trzymać łokcie przy sobie". Nie można więc powiedzieć, ażeby moralność jej była wyższą od moralności ludu — wogóle szlachta w przeszłości polski nie wyszła z pod pendzla p. Konopnickiej, opierającej się na dokumentach historycznych, w barwach zbyt różowych. W stosunkach z chłopem szlachcic był twardy, nieużyty, szorstki, surowy, pełen egoizmu, zarówno o podniesienie ekonomicznej doli ludu jak i jego poziomu moralnego niewiele się starający. Nie dziw więc, że chłop, takiego mając nad sobą pana, nie mógł wyrobić się w obywatela; nie dziw, że pod obuchem takich stosunków deptał prawo, nie mając otwartej drogi do jego zwalczania, uciekał się do środków niemoralnych, jak podstęp, chytrość, oszustwo i jawny gwałt. Nie dziw więc, że na tak ponurem tle dziejowem nie mogło i malowidło chłopa dzisiejszego wypaść zbyt dodatnio, pomimo całej sympatji, jaka onegdajszy przenikała odczyt. Czy jednak barwy użyte przez p. Konopnicką na sportretowanie współczesnej masy ludowej nie są zbyt ciemne? Powiedziała prelegentka, że lud w masie swojej jest bierny, nieruchomy, obojętny na jutro, niedbały, leniwy, usiłując wady te uniewinnić warunkami dziejowemi. Przez wieki harował chłop na cudzej glebie, więc naturalnie brakło mu bodźca do wyrobienia w sobie pracowitości i dbałości; lenistwo

weszło mu w krew; pracuje on dzisiaj tylko tyle, aby najniezbędniejsze zaspokoić potrzeby.

Przez wieki zmuszony słuchać pańskich tylko rozkazów, własnej nie mający woli, przesiąkł biernością; znamionuje go brak inicjatywy, którą posiada szlachta, a która, jak tyle innych przymiotów historycznego również jest początku. Charakteryzując umysłowość ludu, zaznaczyła prelegentka, iż umysłowość ta różni się od intelektu warstw przed nim stojących, przedewszystkiem brakiem zdolności do abstrakcji, do kształtowania pojęć, do uogólniania — mózg chłopski operuje głównie faktami, nie ideami.

Nie wchodząc w istotę punktu ostatniego, który może jest słuszny, sprawozdawca chciałby, co do moralnej strony duszy ludu skromną uczynić uwagę. P. Konopnicka oświadczyła na wstępie, że zna tylko lud w Koronie, że natomiast lud galicyjski jest jej obcym. Zdaje się, że prelegentka nie widziała także chłopa poznańskiego. W przeciwnym bowiem razie byłaby się przekonała, że generalizując wady naszego ludu nie zupełną miała rację: Lud poznański dawno już się wyzbył tych wszystkich przywar, o jakich mówiła p. Konopnicka jako o spuściźnie wieków. Nie jest on bynajmniej biernym, nie jest bynajmniej leniwym. Chłop poznański poszukiwany jest w Niemczech jako znakomity robotnik, a u siebie w domu jest wzorem znakomitego gospodarza. Że mu nie brak inicjatywy, na to dowód choćby w tłumnych jego pielgrzymkach za pracą — do Brandeburgji, do Westfalji, prowincyj nadreńskich etc. Co więcej, brak lenistwa i bierności objawia się także w jego pracy na polu narodowem. Dziś Wielkopolska stoi chłopem: przeważna część ludności wiejskiej posiada wielkie poczucie obywatelskie i obowiązki narodowe spełnia z gorliwością, której pozazdrościć by mógł niejeden z tzw. warstw przodujących.



A i chłop galicyjski wykazał w ostatnich latach niezmiernie dużo energji, niezmiernie dużo siły woli w obronie swych praw politycznych, nie mówiąc już o znanej ekonomicznej zapobiegliwości naszych „Mazurów". Lud w Poznańskiem doszedł własną pracą do znacznego dobrobytu, a lud zachodniogalicyjski wstępuje w jego ślady. Nie zaznaczyła tego prelegentka i dlatego, sądząc po wadach i przywarach, które miał a i po części jeszcze ma, ale których w pospiesznem pozbywa się tempie, po wadach, które scharakteryzowała p. Konopnicka w sposób tak dosadny, możnaby niewiele na przyszłość mieć otuchy. A przecież, patrząc na dzisiejsze przejawy życia naszego, otuchę tę w całej posiadamy pełni.

O co tylko idzie? o to, że widząc u ludu przejawy innego życia, niż dotychczasowe powinnibyśmy w myśl wspaniałych haseł, któremi nabrzmiałą jest przepiękna poezja p. Konopnickiej, w myśl ducha, jaki przenikał i odczyt onegdajszy, pracować z wytężeniem wszystkich sił nad uogólnieniem i ujednostajnieniem tych objawów, aby szeregiem czynów narodowych zasypać przepaść, która jednakże nie jest już na szczęście tak głęboką, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło.

„Czerpmy — mówiąc słowami onegdajszej prelekcji — ze skarbnicy wiedzy, uwielbiajmy i twórzmy piękno — ale przedewszystkiem szukajmy wielkości duszy w masach społecznych. Będzie to szczytne i płodne zadanie" — a zadanie — dodajemy to od siebie — wdzięczne, bo w ludzie naszym bogaty, szlachetny — mimo wiekowej niewoli nie zniweczony do szczętu — znajduje się materjał.

Nie potrzeba dodawać, że odczyt wypowiedziany został w ślicznej formie, a publiczność zebrała się w tak mnogiej liczbie, jak tego od bardzo już dawna nie mieliśmy sposobności oglądać. Jest to dowodem, jaki urok wywiera imię znakomitej poetki.

# KAROL BRZOZOWSKI

Czoło, owinięte białym turbanem, strojnym w kitę piór czaplich, na kaftanie pas purpurowy, za pasem kindżał, w ręku dubeltówka — oto jak wyglądał trzydziestokilkoletni wówczas poeta, kiedy, nawałęsawszy się dosyć po cywilizowanych krajach zachodu, schronił się w dziewicze lasy Anatolji i tutaj, uganiając się za zwierzyną, wzbudzał podziw i trwogę u Turków. Z pod zawoju „migały ócz błyskawice", a z czarnych, ogorzałych lic widać było, że to człowiek, który oddawna nie miał dachu nad sobą, że burka służyła mu za namiot, mech i murawa za pościel. Pomimo to czuł się szczęśliwym i dumnym, a junacka zuchwałość przebijała się w płomiennych słowach:

„Jak okiem sięgniesz wzdłuż, wpoprzek wszędy,
Od mórz obojga za grzbiet Allendy
Mówią, że jest to kraj Padyszacha;
Ale mnie Turek wita ze strachem!
Drwię z Padyszacha, z jego Allacha,
Ja, Czarny Łowiec, tu Padyszachem!"

Tak ongi „grzmiał pieśnią" nad wschodnie dywany przenoszący kobierce „z konwalij, bzów i tulipanów", nad cudne kąpiele w Tolmabakczy, dwieście stóp wody, z łoskotem spadającej do wanny, w granitowych wyżłobionej skałach. Tak szumiał „Kara-Andżi" i wygrażał się bisurmanom, że, aby jasno mu było w drodze, Aki-Kaway podpali i łuną skutarskie obleje bramy. Tak huczał tułacz niedobrowolny i dzikimi rytmami zwalał z siebie „żelazną górę" tęsknoty, „krocie



bomb klątwami sypał", „z głupiej łzy obcierał ślepie", „sadził piorunami" i dodawał sobie wesołości i otuchy, dowodząc, że nad sławioną janczarkę, muzykę padyszacha, milsze mu iest granie ogarów, huk rusznic i odgłos trąbki myśliwskiej, a nad „sułtańskie z ryżów biesiady" wspanialszą wieczerza z dzika, upieczonego na kłodach bukowych, uczta spożywana w Ossjanowskim nastroju, „przy starych pieśniach i dębów gwarze".

Dziś postaci Karola Brzozowskiego inna odpowiada nazwa, wyrzeczona również z dzierżaw, zamieszkanych przez wyznawców proroka: „Kara-Andżi" zmienił się w „Ak-Babę", *Czarny Łowiec* w „Białego Ojca".

Przygarbił się nieco ten starzec, ósmy dźwigający krzyżyk; głową chwieje, jak świerk odwieczny, smagany wichurą; długą, siwiuteńką brodę chowa pod brunatną, chłopską siermięgę, w której często spotykam go na ulicach naszego Lwowa. Ale z pod brwi krzaczastych błyszczy para oczu niewygasłym płomieniem młodzieńczym, a gdy mówi o zadaniach poezji, to z werwą domaga się od niej tej siły i tego hartu, co zasadniczą zawsze był cechą jego własnej duszy twórczej:

Ma w sobie Brzozowski coś z niestrawionej żywotności Tycjana. Wielki artysta ten powiedział w dziewięćdziesiątym którymś roku życia, że dopiero teraz, niemal w przeddzień śmierci, poznał, jak właściwie malować należy: i Brzozowski przepiękne rzeczy tworzył w leciech podeszłych. Znajduje się przede mną rękopis przekładu Salomonowej „Pieśni nad pieśniami", a pod ostatnią strofą widzę rok 1870. W Mezopotamji, w Teredżach nad Tybrem, zbliżał się poeta do pięćdziesiątki, gdy porwany zmysłowym urokiem tego najpotężniejszego, najognistszego z hymnów miłosnych, zabrał się do przybrania go w suknię mowy ojczystej.

Transkrypcja dyszy wschodnim żarem oryginału, pełnym

zapachu nardu i galbanu, i gdyby nie kilka drobnych skaz w formie, skaz, nawiasem powiedziawszy, łatwo dających się usunąć, mielibyśmy dzieło wyborne.

A dwanaście lat przedtem śpiewał, jak młodzieniec, któremu pierwsza uśmiecha się miłość:

„Czem się dzieje, moje słońce!
Że spokojne serce moje,
A na pierś mą spływające
Drżą twych włosów złote zwoje.
Bo podbita twą jasnością,
Dusza ma wybiegła z łona,
Drży zachwytem i miłością,
U twych włosów zawieszona."

Ta płomienność i świeżość uczucia przenika i dramatyczne utwory Brzozowskiego.

Karol Brzozowski, syn oficera wojsk Napoleońskich, urodził się w Warszawie r. 1821. Uczył się w szkołach pijarskich we Włocławku, a następnie w Sejnach, Suwałkach i Marymoncie i od wczesnej już pory, jak większa część poetów, zaczynał, pod wpływem ballad Mickiewicza, składać wiersze, wyrabiające mu sławę pośród kolegów. Zamiłowanie do literatury rozbudził w nim prof. Andrzej Lange, a stosunki z ludem wydały pierwszy rzetelny, uwagi godny plon, który stał się źródłem natchnienia dla takiego choćby pisarza, jak Lucjan Siemieński.

Ze strzelbą na plecach włóczył się młody wychowaniec szkoły agronomicznej po nieprzebytych puszczach litewskich — ojciec otrzymał rządową posadę leśniczego — i z puszcz tych, z nad wybrzeży Niemna — wyniósł zbiór pieśni ludowych przetłomaczył je na język polski i wydał w r. 1844 u Żupańskiego w Poznaniu.



Mieszkając w Dreźnie tłómaczy „Osmanidę" dubrownickiego Gundulicza, pisze poezje, których ilość wraz ze stworzonemi poprzednio wystarczyłaby na cztery tomy. Niestety, jak później, tak i teraz z utworami swymi obchodzi się z karygodną lekkomyślnością.

Wybierając się w podróż za granice Niemiec, do Szwajcarji i Paryża, powierza rękopis gospodyni drezdeńskiej, a ta rzuca go do ognia i gubi pracę, do której, poeta wielką przywiązywał wagę. Zdawało mu się, że przekład „Osmanidy" zachowa jego imię w potomności przez kilka przynajmniej pokoleń, a wiara ta uprawnioną była tem bardziej, ponieważ opierała się na zdaniu takiego znawcy, jak Mickiewicz. On to zachęcił młodego pieśniarza, aby wytrwał w zamiarze dokończenia dzieła, notując na marginesie przesłanego mu rękopisu następujące słowa: „Jak zajął mnie przekład, najlepszym dowodem są uwagi, które nad nim porobiłem. Gundulicz znalazł kogoś, co go zrozumiał. A więc naprzód!"

Nauka udzielona mu tak niefortunnie przez bojaźliwą gosposię, poszła jednak w las: Brzozowski nigdy nie nauczył się szanować płodów swej muzy. Raz je wyrzuciwszy z siebie i przesławszy jakiemuś pismu w kraju, najchętniej *Dziennikowi Literackiemu* we Lwowie, przestał zupełnie troszczyć się o ich przyszłość.

Nigdy poezyj swoich nie zebrał razem i ztąd to pochodzi, że mimo wielkiego talentu zbyt mało znany jest ziomkom.

Nigdy też „Kara-Andżi" nie poprawiał swoich utworów, pisząc je w lesie, na łące, przy zakładaniu drutów telegraficznych, któremi, jak „garnek stłuczony, odrutował całą Turcję", kreślił je zaś ołówkiem na świstkach, na mankietach, na kołnierzykach. Po jarach Anatolji, po wertepach Kurdystanu, po falach Eufratu i Tygru, trudno było nosić ze sobą libry papieru i wygodne przybory do pisania. Zresztą na gładzenie

i kopjowanie autor „Parku-Bożego“ nie miał nie tylko czasu, ale i cierpliwości. W poezjach jego widać też niejedną usterkę, którą trzeba położyć na karb tej gorączki twórczej, tego tułaczego pośpiechu.

Najpłodniejszym był zdaje się, Brzozowski około roku 1853 do 1858, w tym bowiem okresie najczęściej spotkać można rzeczy jego w wspomnianym już tygodniku literackim i w innych (np. w dodatku miesięcznym do *Czasu*), w tym okresie powstał też większych rozmiarów poemat epicko-liryczny, przepyszna „Noc strzelców w Anatolji“, której w pierwszym rzędzie zawdzięcza Brzozowski swą sławę.

Wspaniałe opisy przyrody współzawodniczą tutaj z humoru pełną gawędą szlachecką i z liryką, przemawiającą do serca mową uczuć, których sile trudno się oprzeć bez wzruszenia, a nawet łzy w oku.

Zaraz z początku co za obraz:

„Ponad Anatolji skały,
Księżyc w pełni skronie wzniósł;
Czarne cienie olbrzymiały, —
Tu gród jakby cudem wzrósł,
Przewrócony na murawy;
Tu dziwaczne drżą podstawy
Dębów, ramienistych buków;
Tu wysmukły cyprys dumny
Długiej ciałem legł kolumny,
Pośród wielkich, śmiałych łuków; —
A tam dalej, patrz! na łące
Jak w nieładzie się rozsiada,
Rozpościera się gromada
Wielkoludów. Patrz, tysiące
Zadumane i milczące;



Turbanami kryte głowy,
Widok niemy a surowy.
Czy Allacha wierna rzesza
Zwiedzić Mekki gród pośpiesza?
. . . . . .
Nie Allacha wierna rzesza
Zwiedzić Mekki gród pośpiesza,
I nad rzeką, tu, pod lasem,
Rozłożyła się popasem.
To, co księżyc tak zabawia,
Zamki, grody pyszne stawia
I kamienie ze cmentarzów,
Porozrzucał na murawę.,
Groźną nadał im postawę:
Wyglądają na mocarzów.
Lecz ot księżyc się zamierzcha,
Patrz, jak dumna rzesza pierzcha;
Padyszachów znikły cienie
I napowrót masz kamienie.
Nagle ogień buchnął w płomień,
Ludzie siedzą przy płomieniu;
Na twarz padł czerwony promień,
Rozlał się po ich odzieniu,
Po kindżałach spłynął błyskiem,
Światłem nagie skały drasnął,
W wodzie układł się ogniskiem
I na czarnym lesie zasnął...“

A takie przekomarzanie się Kurpia ze Żmujdzinami, którzy znalazłszy za rzeką Wieloną jakiś przedmiot ze skóry, ani rusz nie mogli zrozumieć jego przeznaczenia: jeden z nich mówił, że to jest komża, drugi, że to jest torba podróżna,

inny znowu, i to ksiądz, przetarłszy oczy i napatrzywszy się do sytu, zawyrokował, że to futerał na siekierę, a żaden z nich ani się domyślił — najzwyklejszego w świecie buta. Ale dziwić się temu nie można, bo wszakci najmądrzejszy z Litwinów, Władysław Jagiełło, przybywszy do Krakowa, gdzie „mieszczanie i kmiotkowie w butach z podkówkami pono już rzucają matki łono, butów nigdy kłaść nie umiał".

Te swojskie żarty, te anegdoty, zaprawione niewinnym sarkazmem, dziwne, na tle potężnej, dzikiej, górskiej przyrody, wywołują wrażenie.

Kiedy niekiedy przypomina się szczęk szabli zawadjackiej szlachty zagonowej w nieśmiertelnym „Panu Tadeuszu".

Wschód, który w r,. 1853 przyjął go do siebie na całe lat trzydzieści — wywołał go tam za poradą Mickiewicza jenerał Wysocki — nadał poezji Brzozowskiego szczególne piętno, nigdy jednak nie pozbawił jej tej barwy rodzimej, która przemawia do nas swem ciepłem.

Czytasz jakiś obraz gorący, zdaje ci się, że masz przed sobą któregoś z arabskich pieśniarzy-farysów, czujesz, że to pejzaż nie z nad Niemna, ani Wisły ani Gopła, że brak mu falujących łanów zboża, że zbywa mu na murawach, obsianych mleczem, zarosłych krwawnikiem i babką, a wtem naraz myśl twoja staje przy ustępie, zawierającym bezbrzeżną tęsknotę do tego właśnie zboża. Innym znowu razem duch poety, nasyciwszy się blaskami słońca, fantastycznością kształtów gór, widokami bluszczów, pnących się naokoło buków i dębów ogromnych, zatapia się w głębiach mistycznych, widzi przechadzającego się „Starca-Ogrodnika", który coraz to nowe sadzi drzewa, coraz to nowe sieje kwiaty i pilnuje, aby „Park-Boży" jaśniał zawsze tą chwałę jego głoszącą pięknością. A innym razem przed oczyma pieśniarza



cały ten świat dziki i uroczy zmienia się w jakiś pełen grozy obraz dantejski.

Wchodzi do czarnej parowy, do której, jak do piekła wielkiego, posępnego Florentczyka, nigdy promienne nie zajrzało słońce, widzi głazy, mchami porosłe, naokoło nich odrażające grzyby, po ścianach salamandry, a nad niemi ćmy rozkołysane. Krople wody w mierzonych pluszczą przestankach; w szarej mgle siedzą i leżą potworne kamienie, zasypane liściem wilgotnym. Nagle szum jakiś się zerwie, i dwie wielkie, ogniste źrenice zatapiają się w nieustraszonego myśliwca, a ten, zdumiały wpatruje się w tę paszczę ze splotami Meduzy nad czołem, i potem — gdy duma męzka zabrania mu się cofnąć, mierzy i w paszczę grzmotem wypala. „Ze strasznym łoskotem pieczara grom ten oddała mu echem, a szatan podziwem zawtórzył i śmiechem..." „I — mówi poeta dalej: —

...wybuchnęły z pieczary straszydła,
Bijąc i klaszcząc w potworne swe skrzydła,
I przeleciały mi szumiąc nad głową
Jak chmura, z chłostą pędząca gradową.
Po strzale cała pieczara się dymi —
I cisza; w głębi gdzieś skrzydło owada
Dzwoni lub z pluskiem kropla wody spada:
U stóp mych puchacz skrwawiony olbrzymi..."

Od takich obrazów roi się w utworach Brzozowskiego.

Z Mezopotamji, z Kurdystanu, z Anatolji, z Bułgarji, z pod stóp gór Rodopy, posyłał poeta utwory swoje perjodycznym pismom polskim. Oprócz kilku większych rozmiarami, jak „Lew ognisty" opisujący walki ludów kaukazkich, taki przekład księgi Hioba, o którym Wincenty Pol powiedział ongi, że „aby tak przetłómaczyć, trzeba być tułaczem, poetą i pisać

na pustyni", oprócz „Deli Petki", „Snu w Bałkanach" i innych, powstały w okresie włóczęgi po wschodzie drobne, przepiękne utwory liryczne, odznaczające się nietylko szczerem uczuciem, lecz i formą doborową. Pod tym względem możnaby śmiało nazwać Asnyka uczniem Brzozowskiego. Sonety, oktawy, a przedewszystkiem wschodnie gazele, mają wdzięk takiej świeżości i tak różnobarwnemi odznaczają się kombinacjami rytmu i rymu, że uchodzićby mogły za utwory najlepszych naszych współczesnych wybrednisiów poetyckich.

Czytam np. taki urywek:

„Ach spłyń do mnie, spłyń z obłoku,
Córo krasy i uroku,
Gwiazdo moich snów!
Spłyń z obłoku i obliczem
Czarodziejskiem, tajemniczem
Mnie zabłyśnij znów.
O spłyń tu do mego łona
Wymarzona, niewcielona!
Szatę bóstwa zwiej:
Myśli moich, snów kochanko!
Odziej się choć drzewa tkanką
Choć traw szatę wdziej!

Nie potrzebuję czytać drugi raz, aby mi w duszy nie zadźwięczał utwór innego poety, który przyszedł po Brzozowskim — lotna, wdzięczna, iskrząca się djamentami „Aszera" El...y'ego.

Albo taka perła poezji miłosnej:

„Kiedy ma dusza leci ku tobie,
Nie puszczaj twej na spotkanie:
Mogą się spotkać w pół drogi obie —



A wiesz, co potem się stanie?
Ot w pocałunkach, szeptach, pieszczocie,
Zdolne utonąć wiek cały —
Nie myśląc, że tam, biedne, w tęsknocie
Po nich się ciała zostały".

Prześliczną jest „Mimoza", ogromnie wdzięczna „Oślepiona ptaszka" której we wspomnieniu

„szumi wonny gaj,
Zielone sosen śmieją się namioty:
Wietrzyk pieśniami gra miłości raj,
I ptaszka daje i bierze pieszczoty.

I oto w srebrny uderzyła głos,
A coraz wdzięczniej, donioślej, weselej!
Drżą zda się na nim wszystkie perły ros,
Wiosny się na nim kołyszą anieli..

Ptaszka prześpiewa i noc tak i dzień,
Aż pan jej duszę z skrzydełek odczepi:
Lecz nie tak lekko uleci jak cień,
Dusza bezbożna, co ptaszkę oślepi..."

Chciałoby się przytoczyć niejeden jeszcze wiersz zapomniany, lub spoczywający dotychczas w pożółkłej tece, którą mam przed sobą; widzę jednak że przekroczyłem już granicę zakreślonej z góry sylwetki jubileuszowej.

Duch Brzozowskiego prawie nigdy nie spoczął, to też liczba utworów jego jest dość znaczna. Samych dramatów znamy aż siedem, a większych rzeczy epicznych lub też epiczno-lirycznych będzie blisko tuzin. Oryginalny w życiu, oryginalnym był „Biały ojciec" i wówczas, gdy tworzył.

Interesujący obrazek tych „bólów brzemiennych“ daje nam T. T. Jeż: „Zwykle jest on (Brzozowski) bardzo koleżeński i wesół, lubiący gawędkę i umiejący rozpowiadać rozmaite prawdziwe i prawdopodobne anegdoty, ale niekiedy chmurnieje, zamyka się w sobie, i ani z nim się dogadać. Proś go o co, to właśnie zrobi to, o co nie prosisz. Czasami położy się i przeleży... dwa miesiące. Czasami przez dwa miesiące nie dotknie strzelby i ani spojrzy na nią. Takie paroksyzmy są jego brzemiennością. Nosi on podówczas w głowie płód, który albo poroni albo też wynosi i porodzi; wówczas potrzeba obchodzić go zdaleka, a najlepiej zostawić go samemu sobie — niech fermentuje“.

A dalej: „Brzozowski wtedy nieprzytomnym się stawał; w izbie osobnej zalegiwał, spał lub też na wznak leżał, w sufit się wpatrywał; niekiedy na świstkach coś ołówkiem kreślił. To „coś“ były to strofy, oktawy i sekstyny. Pisał je od ręki prawej do lewej, pismem, które jeno w zwierciedle odczytać było można...“ Jeden z takich dokumentów, kreślonych od ręki prawej do lewej („Noc strzelców w Anatolji“), znajduje się w bibljotece Pawlikowskich we Lwowie.

Z dramatów największe budzi zajęcie „Malek“, po raz pierwszy przedstawiony we Lwowie w r. 1883.

Tragedja pięcioaktowa, której pierwsze trzy akty wykończył poeta jeszcze w r. 1849, ale których rękopis swoim zwyczajem zagubił. Odnaleziono go w osiem lat później i przesłano go Brzozowskiemu z Rzymu. Cóż z tego!... poeta zgubił go ponownie i dopiero wracając ze Wschodu około 1880 roku, odnalazł go w Konstantynopolu i wykończył we Lwowie. Treść zaczerpnięta z niezbyt dawnych walk Tatarów krymskich, a do najbardziej wzruszających motywów należy początek aktu piątego, kiedy dziewica Majuma, napół obłąkana po stracie płomienistego Omara, z zieloną gałęzią w ręku,



śpiewa o wianku, który zawiesi lubemu na szyi, a później znalazłszy krzesiwo, uderza niem o krzemień i potem na widok skier, rzuca go o ziemię wołając:

„Wytrysnął szatan! Tyś gryzł jego czoło,
Zgiń ty, przepadnij! w czarnej nocy zgaśnij!“
A potem czule do przybranej matki Selimy:
„Nie słuchaj matko! zaśnij matko, zaśnij!...“

„Joannę Neapolitańską“ drukowało niezbyt dawno *Ateneum;* do tego pisma odsyłam ciekawych.

Z innych dramatów wymienić należy przedewszystkiem „Eryka XIV“, „Bojomira“ (niedok.), „Karola Levittoux“, „Formozę“ (przekład), „Do tarczy o pannę“ i „Oblężenie m. Lwowa“, rzecz z powodzeniem grywaną w teatrze Skarbkowskim.

Wspomniałem już o przekładzie „Osmanidy“, „Pieśni nad pieśniami“ i „Hioba“. Obok tych tłumaczył Brzozowski Herwegha, Schillera, Goethego, Uhlanda, Huga, Koernera (Zrinyi), Lenau'a (Jan Żyżka) i wielu innych, zwłaszcza arabskich i perskich poetów.

Mimo lat blisko osiemdziesięciu zachował „Ak-Baba“ niezwykłą pogodę umysłu. Jest dowcipny, z humorem np. deklamuje piosnki ludowe (nawet tłuste), a zadowolenie z losu maluje wybornie jeden z ostatnich jego wierszy, napisany niedawno, a który tutaj w całości (po raz pierwszy w druku) przytaczam:

„Pan łaskawie prządł dni moje,
Krzyża nie dał nad me siły;
Wonie, śpiewy, żywe zdroje
Znój i troskę mą koiły.

I jak lilji kwiat bogaty,
Choć nie przędła sukni sobie,
I mnie pan ubierał w szaty
K'woli ziemskich dni ozdobie.

I jak ptaszka, co nie sieje,
A ziarenka jej nie zbraknie,
Nigdym nie rzekł: „Panie! dnieje,
A od wczoraj ciało łaknie!"

A gdy drogą szedłem smętną,
Ja gołąbkę miałem białą,
To jej w sercu mojem tętno
Krwi stygnącej ciepło dało.

Nie zostawiam nic po sobie
I zabieram same długi,
Wdzięczność, wielki Panie, Tobie,
Wdzięczność nieudarnej sługi.

Chylę się jak kłos dojrzały,
Na żniwiarza czekam cichy,
Może zdmuchniesz, jak puch biały,
Lekkie ziarno — lecz nie pychy..."

Pychy nie miał nigdy i nie ma ten starzec szlachetny, ale ma duszę prawdziwego pieśniarza.



# O WŁADYSŁAWIE ŚLEWIŃSKIM

Drogi Panie Władysławie!

Pozwól Pan, że obyczajem praktykowanym zagranicą, pierwszą wystawę dzieł Twoich we Lwowie, gdzie przepędziłem tyle lat życia, kilkoma powitam słowy.

Mam zupełną świadomość, że Panu rekomendacje nie potrzebne, tem mniej od człowieka, stojącego zdala od cechu zawodowych znawców sztuki, nie biorącego udziału w bezpłodnych sporach o manierę i szkoły, nie uznającego żadnych innych prawideł „estetyki", prócz oka i duszy artysty.

Jeżeli jednak odważyłem się prosić Pana, abyś nazwisko moje umieścił na czele swego katalogu, do ubiegania się o ten zaszczyt popchnęła mnie potrzeba serca: pragnąłem publicznie wyrazić Ci hołd jako prawemu twórcy, który, wierząc, iż „sztuka czy piękno" — przepisuję tu Pańskie wyrazy — „to przykazanie boże czy prawo natury", od przykazania tego w dotychczasowej działalności ani na krok nie odstąpił, nie dając się skusić uznanym gustom i towarzyszącemu im powodzeniu zewnętrznemu.

Poznaliśmy się przed kilkoma zaledwie miesiącami, na wsi, w obliczu majestatycznych olbrzymów tatrzańskich: ale i ten krótki przeciąg czasu, przeżyty na rozmowach z Panem i na dyskretnem podpatrywaniu pracy Pańskiej, wystarczył, ażeby dawne przekonanie moje, że jedynem prawidłem „estetyki" — nie lubię tej nomenklatury — to oko i dusza artysty, jeszcze się bardziej we mnie utrwaliło, ażebym śmiało i otwarcie mógł wyznać, iż takie oko i duszę znalazłem w Panu.

Dwa te czynniki nie idą u Pana obok siebie: są ludzie malujący, obdarzeni okiem, które im pozwala znakomicie chwytać kształty przedmiotów i, przy takiej technice, z tak zwaną prawdą — u nas „prawda“ nie przestaje się jeszcze równać ścisłości fotograficznej — przenosić je na płótno; nie brak też pomiędzy niemi organizacyj subtelniejszych, o duszy wrażliwej, wyczuwającej nastrój, rozlany w Przyrodzie, tem źródle popędów twórczych, że jednak nie posiadają oka, któreby umiało należycie ogarnąć formy, rozeznać się w charakterze świateł i cieni, przeto ich obrazy, pozbawione rysunku, nie dadzą nam wrażenia harmonji, niezbędnej dla „prawdy“ każdego dzieła sztuki.

U Pana oko i dusza stały się jednym organem, a może jaśniej, gdy powiem, że oko Pańskie nie tylko widzi, ale równocześnie i czuje, a dusza nie tylko czuje, ale i widzi, i to bystro i ściśle. Dzięki temu obrazy Pańskie przedziwną do mnie przemawiają harmonją.

Przyznam się, że kiedym po raz pierwszy stanął przed nimi, odstręczyły mnie tą charakterystyczną grubą linją konturu, będącą chyba niepodzielną własnością Pana; równocześnie jednak nie przestawały, jak gdyby chytrze, przynęcać źrenicy i wkrótce tak ją do siebie przykuły, że już potem odwrócić się od nich nie mogła. Pamięta Pan, com Panu kiedyś w tej sprawie powiedział: Że mianowicie, kto się dobrze Pańskim przyjrzał malowidłom, ten nie wiele znajdzie u nas innych, któreby go istotnie zainteresować mogły.

Gdybym tak nie znał Pana, jak, pochlebiam sobie, że znam, byłbym skłonny przypuścić, iż do takiego prymitywu rysunkowego, popycha Pana rozmyślna chęć uderzenia widza, jak gdyby kułakiem w tym celu, aby raczył się zająć ręką, która mu cios ten wymierzyła, i, przypatrzywszy się lepiej, przekonał się, że w tych linjach nietylko nieskalany jest rysunek, ale że w ich ramach zawarta jest treść niezmiernie głęboka.



Oczywiście nie mam na myśli treści zewnętrznej, anegdotycznej, którą Pan, używający wyłącznie języka malarskiego, linji i koloru, będący wrogiem wszelkiej w malarstwie „literatury“, sprawiedliwie gardzisz; mówię o treści wewnętrznej, o tej prawdziwej, szczerej poezji (prawdziwa poezja z literaturą nie posiada nic wspólnego), o tym intensywnym nastroju, przędzą smutku, melancholji czy tęsknicy okrywającym Pańskie krajobrazy morskie, a i nasze, śniegiem pokryte, zczerniałemi chałupami posiane, turniami Murania, Lodowego, Kosistej i Giewonta gwałtownie od widnokręgów odcięte pola poronińskie, które, z kępami jakby rozmgławionej olszyny, czujące oko i widząca dusza Pańska zaczyna przenosić na płótno.

A Pańskie kwiaty, te maki, te anemony, te słoneczniki! To nie doskonałe fotografje rzeczy, które żyły, ale zgasły z chwilą, gdy się znalazły na kliszy, to odrębne, wiecznie żyjące indywidualizmy, zadziwiające nietylko techniką (u nas i to zadziwia), ale przedewszystkiem melancholijna muzyka Pańskiej duszy, grająca linją i barwą, dzięki oku, co nietylko widzi, ale i czuje, dzięki duszy, co nietylko czuje, ale i widzi, w doskonałą zlanemi harmonję, w rzeczywistą — choć „tylko“ malowaną — prawdę życia, — choć „tylko wyobrażonego“.

Drogi Panie! Pewnego razu siedziałem w Comedie française, na sztuce lichej, zajmującej się jednym z tych marnych problemów bieżącego życia, które przemijają, zanim druga choć trochę głębsza — naturalnie nie Labiche'a — raczy na nie zwrócić uwagę. Grano ramotę tę z właściwym aktorom francuskim patosem. Raził mnie rozdźwięk pomiędzy płaskim charakterem sztuki, a jej, jak mi się w pierwszej chwili zdawało, napuszystą interpretacją. A jednak w tym samym mo-

mencie zastanowiłem się mimowoli nad tem, że przecież komedja, grana na scenie nie jest rzeczywistością, a tylko jej odbiciem i że tę różnicę, jeżeli w farsach, to w istotnych dziełach natchnienia w jakikolwiek sposób zaznaczyć trzeba. Aktorowie francuscy czynią to z mniej lub więcej zręcznym patosem, aktorów naszych hołd, palony bezwzględnemu realizmowi, doprowadził do tego, że z desek wszelką wyrzucili poezję, że słuchać w ich nieodtwarzaniu ale, że tak powiem, zeziemszczaniu n. p. Słowackiego prawdziwą jest męką.

Dlaczego Panu o tem wspominam? I co wywołało we mnie to przypomnienie? Kwestja portretu. Tego rodzaju płócien Pańskiego pendzla znam kilka — zaliczam do nich i tę przedziwną Pańską przyjaciółkę „Dąbkową" z Czarnego Lasu („W kościele") i tego Góralika-sierotkę, którego oglądałem w Pańskiej pracowni, a który, o ile wiem, pojechał do Wiednia.

Patrząc na nie, przychodzi mi na myśl, że gdybyś Pan był aktorem, nie „zziemszczył" byś Słowackiego, że zapomocą słowa i ruchu, powiedzmy raczej, dźwięku i gestu kazałbyś Pan kreacjom jego żyć ich życiem poetyckiem, tak jak ono wyszło z muzycznej duszy wielkiego poety. Inaczej: Pan nie jesteś „realistą" czy „naturalistą" w znaczeniu utartem, nie jesteś Pan kopistą „oddającym" przyrodę choćby nawet z pozorami duszy. Portrety Pańskie, odznaczające się zewnętrznem podobieństwem, nie są zewnętrzną rzeczywistością.

Malowane środkami tak samo, jak krajobrazy niezmiernie prostemi i czysto malarskiemi — bez mieszania się np. do środków rzeźbiarskich, bardzo często z tą samą grubą, ale rysunkowo niezmiernie prawidłową linją, czasami jak gdyby płaskie, portrety te nie starają się, aby widz miał złudzenie żywego człowieka, nie pragną — i to ze skutkiem — wywołać wrażenia danego życia indywidualnego,.



Dzięki Pańskiej umiejętności — niech się Pan nie gniewa za to wyrażenie, ale w danym wypadku jest ono dla mnie równoznacznikiem Pańskich odczuwań — a więc dzięki Pańskiej umiejętności nadawania oczom pewnego wyrazu, pewnego układania figury, życie portretów tych przybiera cechy, leżące poza życiem indywidualnem.

Od czasu, kiedy w tak mydłkowaty sposób nadużyto u nas pojęcia o symbolu, wyraz ten może nam się obrzydzić, a przecież nie mamy innych środków słownych na określenie pewnego charakteru, pewnego dzieła sztuki, dlatego też muszę i ja powiedzieć, że portretowe Pańskie indywidua zmieniają się w symbole. Klasycznym tego przykładem jest dla mnie wspomniany powyżej sierotka. Chłopaczyna, niczem nie różniący się od innych swoich towarzyszy; takie same portki, taka sama koszula czy kapelusz, jak u syna choćby najbogatszego gazdy (górale swych dzieci na codzień nie stroją), ani jednego elementu, ani jednego ruchu, specjalnie wskazującego na losy chłopaka (n. p. płacz, torba żebracza, podarte ubranie), a przecież oczy i niesłychanie proste ułożenie postaci (na krześle, w pracowni, bez najmniejszej, sztucznej pozy) przemawiają do nas przejmującym językiem — Pańskiej duszy, która z wielkiem współczuciem, a spokojem powiada zapomocą barwy i linji: te biedne dziecięta na świecie!

Jak w pejzażu unikasz Pan wszelkiej fantastyczności, tak w portrecie wyrzuciłeś Pan za piec czy na śmietnisko wszelkie literackie szpargałki, wyrażające się w alegorycznych emblematach, mających ilustrować chwilowy czy ogólny nastrój malowanego modela.

Urywam, bo i tak widzę, że przekroczyłem miarę użyczonych mi kilku wierszy w Pańskim katalogu, ale pozwól mi Pan, przy końcu, wyrazić jeszcze jedno życzenie: iżby dusza Pańska, tak wewnętrznemi nićmi związana z Przyrodą i z falującem

morzem, z śniegiem poronińskim, z modlitwą „Dąbkowej"' z dziwnym blaskiem, lśniącym w kątach oczu Góralika, nie zraziła się do swoich, do których Pan po dwudziestu latach powróciłeś z gwaru paryskich bulwarów czy z nad wybrzeży ulubionej Bretanji, jeżeliby Cię swoi niezawsze należycie pojęli i ocenili Pańską sztukę.



# MIKOŁAJA HUSSOWSKIEGO
## „PIEŚŃ O ŻUBRZE" i „PAN TADEUSZ"

Mam zamiar przedstawić dostojnemu Zgromadzeniu oczywiście w rysach jak najogólniejszych — poetę, o którym u nas do niedawna jeszcze głuche panowało milczenie, a o którym i dzisiaj jakie takie wiadomości ma tylko szczupła garstka badaczy, zajmujących się epoką naszej poezji humanistycznej. Przywiódł nam Mikołaja Hussowskiego przed oczy w naszych czasach i ogromną przez to wyświadczył piśmiennictwu naszemu usługę, jeżeli się nie mylę, pierwszy prof. Pelczar, ogłosiwszy przed laty dziewiętnastoma sumptem Akademji Krakowskiej tomik jego poezji, będący co do naszej „Pieśni" powtórzeniem pierwotnej, z r. 1523 pochodzącej edycji Vietorowej i kopji tej edycji, puszczonej w świat przez cesarską Bibljotekę petersburską w roku 1855 na podstawie egzemplarza, który Bibljotece tej darował Litwin, ks. Józef. Małyszewicz.

Jak dalece jednak, mimo rozpraw i notatek Pelczara, Jezienickiego, Rejowicza, Dembitzera, Ćwiklińskiego i innych, nazwisko Hussoviana jest niepopularne, dowodzi fakt, że nawet taki sumienny, choć w sądach swoich niejednokrotnie zbyt ciasny Chmielowski, w swojej sześciotomowej, roku tysiącznego dziewięćsetnego sięgającej „Historji literatury" ani najmniejszej o poecie tym nie uczynił wzmianki.

Ale i ci, którzy się z Hussowskim zapoznali i nie skąpią mu uznania, nie zdobyli się jednak na otwarte, zastrzeżeń pozbawione zdanie, że śród wierszujących pisarzy pierwszego okresu humanistycznego autorowi „Pieśni o Żubrze" pierwsze należy się miejsce, że pod względem wyobraźni, pod względem zdolności plastycznego przedstawiania zjawisk przewyższa

on wszystkich, że nawet taki szczery i prawdziwy liryk, jak Janicki, zmienia niejednokrotnie uczucie na czułostkowość albo obraca się w granicach dydaktyki i że dzięki temu i pod tym względem, pod względem siły uczuciowego wyrazu, Hussowski w okresie tym nie ma współzawodnika.

Historycznie, albo raczej temporalnie — gdyż pojęcie historyczności zbyt jest rozległe — Mikołaj Hussowski stoi w jednym szeregu z Pawłem z Krosna, z Janem z Wiślicy, z Andrzejem Krzyckim, Dantyszkiem i z wspomnianym już, tak sympatycznym Klemensem Janickim. Pod względem wewnętrznych walorów twórczych nie ma on z nimi, na ogół wziąwszy, nic wspólnego — mam zawsze na myśli główne jego dzieło „Pieśń o Żubrze", wyjąwszy wspólność języka, wspólność zewnętrzną. Jak tamci, tak i on, posługiwał się mową łacińską, która w dystychach jego brzmi może mniej gładko, aniżeli w rytmach takich wyszkolonych rymopisów, jak Krzycki lub Dantyszek, której jednakże na szalę tutaj kłaść nie można. Wymawianie go przecież jednym tchem z tą całą plejadą wierszujących humanistów — wyjątek można uczynić poniekąd z Janickim — wynika z pewnych nieporozumień co do patrzenia na istotę poezji, nieporozumień, z któremi spotykamy się niemal codziennie, a dalej z przesadnych, nieco szkolarskich wyobrażeń o zasługach klasycznego renesansu nietylko u nas, ale i w reszcie Europy, zasługach nie na polu kulturalnem wogóle, bo tutaj były one istotnie wielkie, lecz specjalnie w dziedzinie twórczości poetyckiej.

Wychodząc z słusznego założenia, że poezja powinna być wyrazem życia, krytyka życie to, jako substrat wynurzeń twórczych, w karykaturalny niejednokrotnie ścieśnia sposób, wtłaczając je w granice objawów zewnętrznych. Stąd też nasze podręczniki, kształcące pokolenia, uwzględniają przedewszystkiem, zwłaszcza jeżeli idzie o czasy dawniejsze, te utwory poetyckie, które słabsze lub silniejsze rzucają światło na pewne wypadki polityczne, na pewne prądy społeczne czy religijne, na zwyczaje i obyczaje danej epoki. Ponieważ z tego rodzaju światłem spotykamy się w rozlicznych epitalamiach i epitafjach, w odach, laudach i epistołach Krzyckich i Dantyszków, więc im też szczególniejszą poświęcamy uwagę. Zapominamy przytem zbyt często, albo jeżeli nie zapominamy, to zaledwie półgębkiem wypowiadamy prawdę, że uczone te produkty tak zwanego renesansu, który rozwojowi poezji narodowej w Europie nieobliczalne wyrządzał szkody, gdyż lekceważąc sobie nieokrzesane na pierwszy rzut oka pierwiastki rodzime, to jedyne źródło prawdziwej twórczości, przeciwstawiał im gładkie, wyhodowane, pozorami żywego kwiatu i owocu rumieniące się, ale odrębności ducha narodowego wrogie walory rzymskie i greckie — otóż zapominamy, że produkty te mają na sobie nawet nie suchotnicze piętna zjawisk umierających, ale wprost już cechy trupiej martwoty.

Oślepieni blichtrem kunsztmistrzowsta czysto formalnego, imponującego zwykle tylko parwenjuszom, zdołaliśmy, jak dotąd, jeżeli idzie o naszych autorów łacińskich, wysunąć na czoło przedewszystkiem ludzi, którzy, na ogół wziąwszy, nie tworzyli, ale umieli pisać jak Horacy, Owidy i Wirgiljusz, natomiast dziwnym, a właściwie po tem, co powiedziałem przed chwilą, nie dziwnym zbiegiem okoliczności, pominęliśmy takiego istotnego twórcę, jakim był Hussowski. Na nim też, a po części i na Janickim okazuje się niweczące, albo przynajmniej tamujące rozwój poezji rodzimej zło renesansu. Tego rodzaju talenty, jak Janicki, a przedewszystkiem Hussowski w swojej pieśni „O żubrze", gdyby pisali po polsku, a nie szli za powszechną wówczas, przez renesans

wprowadzoną modą uciekania się do cudzoziemskiej łaciny, staliby się naprawdę wielkiej miary nowoczesnymi poetami narodowymi.

Ale i mimo obcego języka, Hussowski posiada w tem głównem dziele swojem tyle właściwości czysto rodzimych, że w związku z szeregiem innych szczegółów, na które choć przelotną zwrócę uwagę, utwór ten można z całem przekonaniem wewnętrznem traktować jako poprzednika Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza", z którym, poza niezbędną w każdym istotnym płodzie poetyckim zdolnością plastycznego przedstawiania zjawisk, łączą go przedewszystkiem ogromne pierwiastki liryczne, pierwiastki uczuciowe, wyrażające się umiłowaniem ojczystego kraju, przejęciem się jego losami, rozkoszowaniem się jego przyrodą, a szczególnie życiem litewskiego „matecznika", tajemnicami puszczy białowieskiej.

Interesującą jest historja tego poematu: Mikołaj Hussowski, biedaczyna, niewiadomo nawet skąd rodem, podobno z Hussowa w okolicach Łańcuta, a może — jak chce Wiszniewski — i z pod Krakowa, gdzie zdaje się, klasyczne otrzymał wychowanie, jakkolwiek w spisie uczniów Wszechnicy Jagiellońskiej znaleźć go ponoć nie można, dostał się na dwór biskupa płockiego, Erazma Ciołka, i z nim, zapewne jako jego sekretarz, zawitał do Rzymu. Tutaj to... „Najjaśniejsza Pani"... — mówi Hussowski w dedykacyjnym liście do Królowej Bony — „Papież Leon X, rozmawiając pewnego razu o polowaniach na Północy, wezwał wymownemi słowy Pana Erazma, Płockiego Biskupa, wówczas Waszej Królewskiej Mości pełnomocnika przy nim, iżby pokazał mu w Rzymie wypchane sianem zwierzę, które my nazywamy żubrem. Kiedy Pan Płocki uczynić to obiecał i do Radziwiłła, wojewody wileńskiego, jak najszczegółowszą, skóry zwierza do-



tyczącą wysłał relację, polecił mnie, domownikowi swemu, ażebym o istocie tego stworu i o polowaniu na niego cośkolwiek napisał, albowiem pragnął okaz ten przedstawić Papieżowi nietylko w rzeczywistości, ale i zapomocą słowa"...

„Zdarzyło się niedawno — parafrazuje czy uzupełnia Hussowski w poemacie swoim powyższy ustęp przedmowy — „że wraz z mnogim ludem

Igrzyska byłem świadkiem, które sprawiał Rzym.
Gdy walczyć rozpoczęły rozjuszone byki,
Parując swojem cielskiem srogich bełtów gąszcz,
Gdy gniew dżganych kolcami coraz to zażarciej
Do coraz częstszych razów sprawną czeladź rwał,
Gdym patrzał z podziwieniem, jak szaleje wściekłość,
Oklaskiem podniecana i udręką ran,
Północne ktoś z przyjaciół mych przypomniał puszcze:
Począłem opowiadać, słuchając ich próśb.
O różnych mówię łowach i o zwierza sile
Potężnej... Lecz zaszkodził mi tu język mój,
Gdyż trud mi nałożono, bym w pieśni powtórzył
Me słowa i to zaraz — taki rozkaz mam..."

Prawdą jest więc, że to, tysiąc kilkadziesiąt wierszy liczące, *Carmen de statura, feritate ac venatione bisontis* nie powstało z własnego natchnienia poety, ale że uwielbiający zresztą światłego chlebodawcę dworzanin zabrał się do wyśpiewania swej pieśni na skutek nakazu z zewnątrz. Atoli prawdą jest również, tak mnie się wydaje, niezaprzeczoną, że natchnienie to nietylko przyszło w samą porę, ale że wzrastało, potęgowało się w miarę postępów poematu, w miarę, jak autor „nawykły przez północne przedzierać się puszcze, zaszywał się w bór sosnowy", ze skutkiem złym czy dobrym — zbłą-

dzić można w lesie" —, w tym celu, iżby „w pieśni jego przeokrutny ryczał zwierz i echem rozegranem" pokazał, „jakie na pieśń tę złożyły się podźwięki" —

Qualis Hyperboreo solitus sum currere saltu,
Pinea nunc etiam lustra subire paro.
Quolibet eventu — silvae suus imminet error —
Rugiat in versu bellua dira meo,
Et reboante sono, quae sunt modulamina nostri
Carminis ostendat conspicienda simul"...

Nie jestem na tyle filologiem, ażebym mógł ocenić wartość językową utworu; jednakże wczytując się w niego i tłumacząc go na język, w którym powinien był ujrzeć światło dzienne, to znaczy na język ojczysty, miałem nietylko wrażenie, iż związane z tematem uczucie rozsadza krępujące więzy cudzoziemskiej normy, ale że i obrazowanie, mimo tej normy, dochodzi do potęgi tak plastycznej, iż równej nie mamy w poezji humanistów naszych i że analogji jej szukać należy w Mickiewiczu i to w pokrewnych tematem ustępach „Pana Tadeusza", zajmujących się życiem borów litewskich.

Raczcie sobie państwo przypomnąć polowanie na niedźwiedzia w czwartej księdze „Pana Tadeusza", kiedy to „z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź na kształt gromu, kiedy wśród straszących, goniących, rwących psów na tylnych stanął nogach, kiedy, spojrzawszy w koło, rykiem strasząc wrogów, przedniemi łapami — to drzewa rwał korzenie, to pniaki osmalone, to wrosłe kamienie, waląc nimi w psów i ludzi; kiedy wyłamawszy drzewo i kręcąc niem, jak maczugą na prawo i lewo, runął wprost na ostatnich strażników obławy, na Hrabię i Tadeusza; kiedy, gdy dwaj ci niedoświadczeni łowcy chybili, skoczył a oni utkwiony weń oszczep czterema



chwycili ramionami, ażeby ujrzeć z przerażeniem, jak z wielkiego, czerwonego pyska błysnęły dwa rzędy kłów, jak łapa z pazurami już na łby się spuszcza"... Raczcie sobie przypomnąć dalszy ciąg tego mickiewiczowskiego obrazu:

„Pobledli, w tył skoczyli i gdzie rzednie puszcza
Zmykali; zwierz za nimi wspiął się znów do góry
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy" — a potem,
ponownym podniecon wystrzałem:
„wyskoczył w górę, jak kot przed chartami
I głową na dół runął i czterma łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemię
Waląc tuż pod hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły".

Otóż mając to arcydzieło obrazowania poetyckiego przed oczami, zechciejcie teraz przyjrzeć się jednemu z odpowiedników w utworze Hussowskiego.

Ale przedtem jeszcze sam majestatyczny wizerunek żubra:

„Najdzikszy stwór ten w puszczach litewskich się rodzi,
A cielskiem tak ogromnem odznaczać się zwykł
Że kiedy łeb, konając zwyciężon, pochyli,
Trzech chłopów może pośród jego rogów siąść.
Lecz kark jego olbrzymi zbyt mały się wyda,
Jeślibyś inne członki z nim porównać chciał.
Brodzisko sterczy, w strasznych zwieszając się kudłach;
Płomienne ślepia sieją przeraźliwy gniew;
Potworne włosię grzywy spływa po łopatkach,
Kolana kryjąc sobą, przód i całą pierś...
Od innych sroższy stworzeń, albo też im równy,

Dla człeka jest li groźny, gdy go zranił człek.
Z największą też czujnością strzeże swego życia —
Wystawić sobie większej nie mógłby już nikt.
Ślepiami strzela wokół, zerka na wsze strony,
Najdalsze też wyśledzi krańce swoich dróg.
Powieki ludzkiej nagłe spostrzeże on drgnięcie,
Chociażby człek swe ruchy na uwięzi miał.
Najmniejszy szmer za sobą pochwyci uszami,
Baczący, by na tyłach przezornie się strzec.
Częstokroć też poważnym przechadza się krokiem,
Jeżeli nie lśnią strzały, nie błyszczy się broń.
Zaś ona, długie w ciebie utkwiwszy spojrzenie,
Przystaje, tak ją umie więzić ludzki wzrok,
Lecz jeśli wiedzie z sobą, troskliwa, swe młode,
Szaleje, chrzęstem broni uderzona w mig:
Straszliwym wieści rykiem swą okrutną wściekłość
To znak jest, by nikt zbytnio nie zbliżał się k'niej".

To nie jest opis, to jest obraz, godny pierwszorzędnego artysty. A teraz, ażeby nawiązać do przytoczonego przed chwilą malowidła Mickiewiczowskiego, zechciejcie państwo wysłuchać urywku z wspaniałych po prostu łowów na żubra:

„Nasamprzód poraniły go" (żubra) „lekkie pociski —
Sterczały w skórze pręty posłanych mu strzał.
Rozwścieklon, strasznie sapiąc drżącemi nozdrzami,
Gromadę łowców zmierzył spojrzeniem i wraz
Zwrot nagły uczyniwszy, w gwałtownych podskokach
Co prędzej jął uciekać; jeźdźce za nim w ślad
Z okrzykiem przeraźliwym puścili się w pogoń:
Rozlegał głos się w okrąg, odbity od chmur.



Lecz gdy w szalonym biegu dotarł zwierz do miejsca.
Gdzie drogę mu tamował stos zwalonych kłód
Zatrzymał go wrzask łowców: odparty przystanął
I zdawał się namyślać, którędyby zbiec.
W tem ranę mu świszczący zadaje znów pocisk,
Ażeby go rozpętał jeszcze większy gniew.
Widzący, jak mu cielsko przeszywa żelazo,
W szaleństwo wręcz popada rozjuszony żubr,
Myśliwych okrutnemi przybija oczami,
Wciąż bacząc, gdzie najczęściej skupia się ich tłum.
Nasamprzód, rażąc krwawo, kieruje swe ciosy
Ku sforze rozszczekanej, potem wpada w lud!..." A potem
„W gwałtownych mknąc podskokach, snać większy z postaci,
W tym biegu wyciągniętej, sapie, parska wkrąg,
Wiatr grzywą mu potrząsa, na oba ją boki
Rozwiewa. W takim kształcie wielki, dziki stwór
Naoślep w ogrodzonym rzuca się ostępie,
Szukając, czem nasycić okrutny swój gniew".

Dla dopełnienia miary cierpliwości dostojnych słuchaczy nie mogę powstrzymać się od przytoczenia jednego jeszcze obrazu, tak wyrazistego, tak pełnego ruchu i barwy życia, iż mając go przed sobą, nie można powstrzymać się od rozpaczliwego niemal okrzyku: „Jaka szkoda, że utwór, pod względem ducha tak ściśle zespolony z niebem i ziemią polską, w cudzoziemskiej występuje przed nami sukni. Ale suknia ta łatwo zedrzeć się daje z tego dziwnego człowieka, który od współczesnych różni się jeszcze i tem, że, obrazy swoje czerpiąc wprost z Przyrody, nie posługuje się żadną figurą mitologiczną, przeniesioną z monumentalnych świątyń pisarzy greckich czy rzymskich w tajemnicze, dzikie ostępy litewskiego boru. A nie posługuje się niemi nie dla tego, iżby

ich nie znał, iżby za małe miał wykształcenie klasyczne — nie: jak gdyby podrwiewając sobie z ówczesnych klasycystów włoskich, z którymi spotykał się w Rzymie, powiada, mając na myśli Dianę, patronkę łowów, którąby każdy inny pisarz ówczesny przy podobnej wprowadził okazji:

„Czy mam się zastanawiać, co rzec o Dianie,
Łowczyni i o którejś z towarzyszek jej?
Nie czas podziwiać krzywe łuki Apollina
I strzały, tak okrutne dla zranionych trzód!
Chrystusa, nie Jowisza czczę i nie Junony.
Lecz Matki Chrystusowej niech wzywa ma pieśń."

A potem z niesłychaną wprost odwagą, bez obawy ściągnięcia na siebie miana barbarzyńcy, nie pojmującego intencyj renesansowych, woła:

„Czyż godzi się baśniami zastępywać prawdę?
Pozwólcie mi to z nagą otwartością rzec
Wy wszyscy, co, fałszywej oddani nauce,
W poezji hodujecie starożytnych kłam..."

Powodował się więc w danym wypadku chrześcijańskiem uczuciem religijnem. Ale uczucia tego nie brakło, w późniejszych przynajmniej latach życia, takim chrześcijańskim biskupom, jak Krzycki i Dantyszek, takim późniejszym żarliwcom, jak Sarbiewski, a przecież uczucie to bynajmniej nie przeszkadzało im rozkoszować się w wierszach swoich mitologicznemi metaforami starożytnych poetów pogańskich. Nie! Nie samo tylko uczucie religijne wchodzi tutaj w grę! Hussowski posiadał ten niekłamliwy instynkt, który staje przy uchu każdego istotnego twórcy i szepce mu o drogach,



jakiemi kroczyć powinien, ażeby się twórczość jego nie zbłąkała, ażeby poezja jego była tem, czem z natury swej być musi, szczerym, wewnętrznym, to znaczy lirycznym wyrazem tajemnicy życia. Tego instynktu w takiej pełni, jak ten prawie całkowicie nieznany dworzanin biskupi, humaniści nasi nie posiadali, to też świetny pod względem zewnętrznym kunszt ich nie zastąpi braku natchnień istotnych. Spotykane zaś tu i ówdzie twierdzenie, że niektórzy z nich tak się starożytnym przejmowali duchem, iż można ich za prawdziwych uważać twórców, jest jednym z tych nieustannie jeszcze pokutujących absurdów, które w ocenę poezji karygodne, tumaniące wprowadzają bałamuctwo. Mimikryzm, małpie, choćby nie wiem z jakiego przekonania płynące naśladownictwo form ongi może i żywotnych, odpowiadających duchowi wieku i tego lub owego narodu, ale z biegiem czasu przeżytych, a tylko sztucznie, choćby nawet z pozorami istotnej potrzeby wskrzeszanych, i to na obcym do tego gruncie było, jest i będzie zaprzeczeniem wszelkiej prawdziwej sztuki.

Instynktowne zrozumienie tej prawdy miał Hussowski; bez tego zrozumienia nie pokazałby nam — i o te właśnie między innymi obrazy chodziło mi przed chwilą —, jak szereg łowców

„Z przedziwną mocą w piersiach, każdy za swem drzewem
Stojący, na okrutny narażony skon,
Mieczykiem połyskując, pokrzykując zcicha
Dzikiego k'sobie zwierza przynęca, a ten,
Od huraganu szybszy, rzuca się na wroga,
Co chroni się za drzewo, odskakując w tył.
Daleki wziąwszy rozmach, potwór w nie uderza
Z chyżością niespodzianą, niby łysk i grom.

Na ziemię odwalone padają gałęzie,
A po nich ciężko stąpa ich niszczyciel, żubr."

Bez tego zrozumienia, nie pokazałby nam dalej takiego głęboko poetyckiemi, bystremi oczami zaobserwowanego, a nie od Horacych czy Wergilich zapożyczonego widowiska, jak owa walka żubra z myśliwym, który tylko trafunkowi zawdzięcza ocalenie od niechybnej śmierci. — Schronił się za drzewo —
„Śnieg biały skrywał drzewo — pod twardą a grubą
Powłoką silny chojar konary swe giął.
Żubr z hukiem weń uderzył, zadrżały gałęzie
Pod mocą łba, na ziemię padł ruszony śnieg
I, gęstą się na okrąg rozwiawszy kurniawą,
I pieśń i myśliwego zanurzył w swych mgłach."

Bez tego cudownego, twórczego instynktu nie byłby nam pokazał — z całą poetycką prostotą — jak w wnętrzu lasu chowają się młode żubry, jak podążają w trop za ruchem matki, jak niebawem powalone przeskakują kłody, lub pędzą po równinie, i jak potrząsając różkami, pełne groźnych min, umieją w chyżym biegu brać szerokie rowy, jak w zapasach nieustannych miękkie ćwiczą ciała. Bez zrozumienia tej prawdy, że jednym z najpierwszych warunków trwałości poetyckiego dzieła jest jego niezależność od cudzych wzorów, a tem bardziej od wzorów, które, w całkiem odmiennych powstawszy warunkach, musiały ostatecznie zmienić się w próchno świecące — bez tego instynktownego odczucia, że jedynym wzorem może być Przyroda w znaczeniu jej najszerszem, nie byłby nam pokazał szeregu żywych scen z życia lasu, tworzących przedziwny analogon do wspaniałego Matecznika mickiewiczowskiego.



Ale kiedy Mickiewicz, przenosząc zjawiska społecznych układów ludzkich na stosunki świata zwierzęcego, stwarza cały ustrój hierarchiczny, w którym Tury, Żubry i Niedźwiedzie, „puszcz imperatory" mają swoich ministrów w Rysiu i Rosomaku, swoich wasali szlachetnych w Dzikach, Wilkach i Łosiach, swoich dworzan i zauszników w żyjących z odpadków pańskiego stołu Orłach i Sokołach; kiedy z Rousseau'wską niechęcią do oświaty maluje obrazi dealnej Atlantydy, jak gdyby tęsknotą za komunistycznem współżyciem przesiąkniętą kopję Raju, w którym „dobre są obyczaje", bo mieszkańcy puszcz „rządzą się sami", bo „jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci, nie znają praw własności, która świat nasz kłóci, nie znają pojedynków ni wojennej sztuki, jak ojce żyły w Raju, tak dziś żyją wnuki, dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie"; kiedy nieśmiertelny autor „Pana Tadeusza", w ten postępując sposób, wprowadza w tego rodzaju barwny obraz jak gdyby pewien odcień sztuczności, Hussowski w odpowiedniku swoim, malującym ustrój życia żubrów, jest może i prostszy, bezpośredniejszy, prawdziwszy.

„Wyrasta płód i w wielką przemienia się trzodę
I strzeże swych legowisk mocą wspólnych sił.
Nadzieja zaś spokoju polega na stróżu,
Co groźnie całe stado obchodzi li sam.
A rządy tylko piękny sprawuje i dzielny:
Po władzę idą samcy często poprzez krew,
Do strasznych nieraz bojów stają biedni wodze,
Ni jednej chwili pewnej nie daje im czas;
W zapasach o królestwo taka jest zażartość,
Że o tem, kto zwyciężył, rozstrzyga li śmierć.
A kto z tych walk wzajemnych wychodzi zwycięsko,

Nagrodę otrzymuje: władnie stadem, król.
Zwyciężon zaś na wieczne wychodzi wygnanie,
Samica kroczy smutna w swego pana ślad."

Z zapałem woła Mickiewicz, ile jest winien drzewom ojczystym, kiedy to, narażając się na śmiech druhów, zamiast uciekającą gonić zwierzynę, polował w ciszy tych drzew na dumania, kiedy, zapomniawszy o łowach, na trawiastych siadywał kępach i patrzał na mchy siwe, na granat rozgniecionych jagód, na czerwień pagórków wrzosistych, na korale brusznic. I Hussowskiemu drzewa „radośnie pięły się w górę, tak wspaniałe, że wspanialszych nigdy nie widział w życiu, drzewa, „nie płodzące wprawdzie owoców, ale przez to bynajmniej nie bezpłodne, gdyż do syta mające miodu i pobrzęku pszczół"; i jemu naokół „różnym kwiatem woniały zagony..."

Świat Mickiewicza, ów wał, kłód korzeni, trzęsawisk, zielsk zarosłych, kopców mrowich gniazd os, „konarów mchem kołtunowanych", oparzelisk i mgieł, pniów, brodatych grzybami, „siedzących naokoło wody, jak czarownic kupa" — świat ten, mimo niebezpieczeństw, mimo przemieszkujących w nim prześladowanych, topionych wiedźm, przecież „pełen rozkoszy", wabił, więził Hussowskiego swym „trzaskiem, swem dudnieniem ziemi, swem ujadaniem sfory", swemi szumami, wobec których „niczem są głośne huki najburzliwszych fal". Zapuszczał się weń i na koniu, razem z innymi łowcami, choć wiedział, że:

„Na równych łatwo jeźdźcom rozwijać się polach
I drwić sobie, patrzący, jak szaleje zwierz.
Tu rzecz się ma inaczej" — tu



„O kłody próchniejące potyka się koń,
Częstokroć mylą łowca wysypiska krecie
Lub wstrzyma ślizgawica, którą kryje śnieg.
Nie łatwo też omijać obwisłe konary,
Na ścieżkach niezliczonych skryta czyha śmierć."

W takiej atmosferze rozwijał się wrodzony instynkt poetycki Hussoviana; bez tego instynktu ten, prawdopodobnie syn polskiego chłopa lub zagonowego szlachetki, który, sądząc po wynurzeniach zawartych w „Pieśni o żubrze", był może i leśnikiem w majątku jakiegoś magnata i dziecko swoje od najwcześniejszych lat zaprawiał do polowania, do „twardego życia trudu", który dziecko to uczył „przetrząsać kryjówki zwierzyny, przezornemi stopy tłumić szmer, by uchem lub nozdrzem zwierz nie odkrył zasadzki", który „pocić mu się kazał pośród śniegów mroźnych, pocisków wielki ciężar na barki mu kładł, pasł oczy śmiercią zwierza, uszy graniem sfory" — bez tego instynktu nie powiedziałby z dumą o sobie, że on „Polak, choć rzymskim pisarzom nie równy", zwraca kroki swoje w gąszcz północną, bo do gąszczy tej wabi go najwspanialsza, cudowne echa gry Wojskiego przypominająca muzyka lasu. A muzyka to niesłychana: W jesienny czas bekowiska

„Powietrze rozegranym napełnia się rykiem,
Wierzchołki krzepkich dębów wraz przebiega dreszcz.
Świadomi powiadają, że nad wszelkie surmy,
Nad wszelkie dźwięki lutni idzie ten ich głos.
Przeróżne wszystkie tony w jedną się zlewają
Harmonję, ponad którą niema słodszych brzmień!

Ale niema też słodszych brzmień — i znowu gra Wojskiego — nad ową muzyką puszczy:

„Gdy zabrzmi wokrąg przestwór ujadaniem sfory,
O jakąż żądzę w łonie rozbudza ten głos!
A ta melodja krzyków, co, rwąc głuchą ciszę,
W tysiączny sposób pną się, to spadają w dół!
A owy ryk, gdy niedźwiedź na oszczep się nabił,
Lub kwiki te żałosne, gdy z ran ginie knur!...
A razy te, dzikiemu zadane żubrowi,
Gdy w rykach przeraźliwych uchodzi już dech,
Gdy wściekły gniew nabierze postaci i straszne
Spojrzenia, oszalały, zacznie rzucać w krąg!
Gdy ranny tur potworną pocznie chrapać krtanią,
Wnet dreszcz przebiega wszystką naokoło gąszcz:
Zmieniając swoje kroki i podskoki groźne
Przybiera na się postać wszelkich gróz i trwóg"!...

Czy nie jest to owa przejmująca, knieje i dąbrowy ożywiająca, głosy zwierząt naśladująca muzyka Wojskiego? Czyż nie jest to owa w graniu jego zamknięta „łowów historja krótka?" Czyż Mickiewiczowski ustęp:

„Zadął znowu, myśliłbyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się długo, przeraźliwie wyje,
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,
Ryknął, potem beczenie żubra świat rozdarło" —

Czyż ustęp ten nie brzmi jak gdyby parafraza tamtego?

Albo raczej, czyż „łowów historja krótka", rozbrzmiewająca w powyższych dźwiękach Hussowskiego, ustępuje w czemkolwiek, pod względem mocy plastycznego przedstawiania rzeczy, barwom i tonom analogicznej „historji" Mickiewiczowskiej?



Pokrewieństwo wpadałoby jeszcze silniej w oczy, gdyby tłómacz, zamiast z umysłu, nie chcąc, o ile możności, uronić niczego, trzymać się elegjackiej formy oryginału, pozwolił sobie, co w rezultacie mógł był uczynić, na przekład, z zachowaniem wszystkich innych wewnętrznych właściwości poematu, w bardziej uchu dzisiejszemu odpowiadającym, rymowanym, trzynastozgłoskowym wierszu epickim. Szkoda, powtarzam, iż Hussowski jakkolwiek, głębokim wiedzion instynktem, umiał otrząsnąć się z ducha cudzoziemskiego renesansu, nie był przecież zdolen oprzeć się powszechnej, zimnemi ustami renesansu dyktowanej modzie i wewnętrznie całkowicie polskiej pieśni swojej w zewnętrzną, polską nie ubrał szatę.

Ale i tak, cześć instynktowi, który, zamiast na Wawel cypryjską przenosić Wenerę i Minerwę ateńską (Krzycki), albo krakowskich Kmitów porównywać z Achillami i, o hipokreńskich myśląc źródłach, wzywać pomocy Pieryd i całego Helikonu (Janicki), wolał, do ówczesnych nawiązując obyczajów, w prostym, a żywym pokazać nam obrazie, jak harcowała dzielna, rycerska młódź polska, jak świszczącemi pociski dziurawiła podrzucane w górę kołpaki, jak obarczona kołczanem, z przedziwną zręcznością przeskakiwała w biegu z konia na koń, jak od strzałów jej żurawie z obciętemi padały skrzydłami bez śladu jakichkolwiek innych ran i obrażeń na ciele.

Cześć instynktowi, który, zamiast kazać Gracji przylatywać nad brzegi Krożenty, Narwi czy Bugu, do Króż Apollinowych i tegoż „Apollina świątyń ochrończych" w poczciwym szukać Pułtusku, a dbałej o oświatę narodu latorośli Chodkiewiczów wdzięczną płacić daninę w bażantach z Kolchidy (Sarbiewski), wolał patrzeć na to, jak

„o zakład
Przez rzeki się głębokie przeprawiała młódź,
Gdy dzika, rwąca fala pieni się i burzy
I, rosnąc, kłąb odmętów wylewa nad brzeg“ —

Wolał patrzeć na to, jak każdy z tej młodzi,

„owinąwszy w suknie,
Do krzywych, małych wideł wiązał oręż swój“,

tak, że

„W ten sposób koń piersiami tnąc szalone wiry,
Przenosił najbezpieczniej całą, suchą broń“ —

Wolał patrzeć i w cudownie plastycznych przedstawiać nam kształtach, jak „Wartka wskoczyła młodzież“ i jak

„Stado płynie, głośno
Parskając, tylko nozdrza wzniesione nad głąb.
U karków wiszą jeźdzcy, tak że lewa ręka
We wodzie, zasię prawą trzymają się grzyw“ —

Wolał, na widownię i własną wysuwając osobę, powiedzieć nam o tem, jak sam w tych harcach, w tych gonitwach, w tych łowach namiętny brał udział:

„Niedźwiedzie kiedy giną, kiedy pada knur,
Gdy trwożne dzikie łosie zapędzają w sieci,
Gdy w potrzask miot niejeden idzie już na skon,
Od strzałów gdy ognistych trzęsie się powietrze,
Przeszyte kulą cielska gdy runą o ziem,
Gdy część, bełtami jeźdźców ubita w szalonej



Nagonce, zlewa ziemię bryzgiem krwawych pian:
Gdy takie w głuchym lesie spełniały się sprawy,
Jam często dorównywał w trudzie druhom mym.
I rzeki-m, ufny w konia, przepływał — koryta
Dnieprowe, gdy przez wodę puszczał się mój zwierz...“

A propos: kierując się wyobrażeniami estetyki szkolarskiej, możnaby Hussowskiemu uczynić zarzut, a podobny zarzut go też spotkał i to ze strony, która, mimo zastrzeżeń, umiała przecież podkreślić doniosłość „Pieśni o żubrze“ — otóż na podstawie pojęć o tak zwanem „pięknie“ w poezji, wysnutych z wsłuchiwania się w dźwięki ściśle odmierzonych, ale dzięki temu właśnie przeważnie zimnych kompozycyj klasycznych, możnaby, powtarzam, zarzucić Hussowskiemu, że „wysuwając swoją osobę“, a łącznie z tem i innych dopuszczając się „dygresyj“, zamącił czystość utworu epickiego.

Nie należę do ludzi, którzyby przeczyli potrzebie architektonicznej struktury w dziełach sztuki; wszystkich nas razić będą malowidła źle zbudowane, choćby, poza brakiem zmysłu kompozycyjnego, odznaczały się wszelkiemi innemi, z istotą dzieł tych związanemi zaletami, jak uczuciowa siła wyrazu, potęga plastyczna i kolorystyczna itp. Kwestja „wysuwania swej osoby“ niema jednak z tem nic do czynienia. Pierwiastek subjektywny, choćby nawet wyrażony gołosłownem „ja“ poety, przemawianiem, że tak rzeknę, „wprost od siebie“, kompozycyjnej wartości utworu ani nie obniży, ani jej nie podniesie.

Obniżenie istotnej, wewnętrznej, lirycznej wartości dzieła uczujemy tylko wówczas, jeżeli poza owem „ja“, poza formą „przemawiania wprost od siebie“ kryć się będzie jednostka wątła, uzurpująca sobie prawo posługiwania się kategorjami wrzekomo twórczemi, w rezultacie jednak nie mająca nic

do powiedzenia. Natomiast wartość tę potęgować będzie artysta mocny, którego „ja“ nabrzmiałe jest przeżyciami, a który nie chce sobie zadawać trudu objektywizowania tych przeżyć i powiadamia nas o nich w kształcie wynurzeń osobistych, bezpośrednich. Wynurzenia tego rodzaju, wyrzucone gorącemi czy spokojnemi ustami — rzecz to obojętna — twórców szczerych, prawdziwych, są jednem z lirycznych pierwiastków dzieła, bez których i poemat epicki nietylko obyć się nie może, ale które wprost posiadać musi jako warunki trwania, warunki żywotności. Pozbawiony tych pierwiastków, podzieli dolę „Puklów porwanych“ i „Zofjówek“.

Zresztą co tu gadać. Pośrednio czy bezpośrednio wysuwali osobę swą wszyscy wielcy poeci nowożytni; objektywny na pozór Szekspir i „objektywny“ Mickiewicz, którego „ja“ chociażby w „Dziadach“ triumfalne święci imieniny; wysuwali osobę swą Słowacki, Shelley i Byron, ten ostatni w przedziwny sposób przemawiając „wprost od siebie“ choćby w epickim „Czajld-Haroldzie“, a zwłaszcza w trzeciej jego pieśni, będącej, przy całej opisowości, ześrodkowaniem wszelakich ekstaz lirycznych. My dzisiaj wiemy, a raczej odczuwamy, że dzięki właśnie tym ekstazom, dzięki temu „przemawianiu od siebie“ i mówieniu o sobie trzecia pieśń „Wędrówek“ należy do szczytów poezji albiońskiego cudotwórcy.

Jeżeli zaś od czasu do czasu pojawia się hasło potrzeby poezji tzw. objektywnej, hasło, podnoszone z mniejszym lub większym wrzaskiem z mniej lub więcej wymowną argumentacją nietylko przez estetów urzędowych, ale i przez ludzi nieuprzedzonych, jako reakcja przeciwko egzageracjom „lirycznym“, dziś jako reakcja przeciwko rzekomym wybrykom romantyzmu, to źródeł hasła tego szukać należy chyba tylko w tem, że faktycznych wybryków pod tym względem do-



puszczają się ludzie, nie zdolni odczuwać zjawisk życia, ale za to w nadmierny sposób zakochani — w sobie.

Tego pretensjonalnego zakochania w sobie niema ani śladu w liryce Hussoviana — jeżeli mówi o sobie, to tylko w tym celu, ażeby, powołując się na swoje doświadczenia, na swoje przeżycia, przypieczętować w obliczu czytających prawdziwość dawanych nam obrazów, albo też dać uprawniony, bezpośredni, liryczny wyraz zakochaniu nie w sobie, lecz w przyrodzie ojczystej, w rodzinnej ziemi, ażeby dać wyraz trosce o losy tej ziemi. Czyni to w tak zwanych dygresjach, do których najwięksi uciekali się poeci bez ujmy dla swego dzieła, jak tego dowodem choćby znowu „Czajld-Harold“. Dygresje Hussowskiego o charakterze nawskroś lirycznym, nawet formalnie zapomocą odpowiednich i to przeważnie zręcznych zwrotów stylistycznych związane z resztą dzieła, są dzieła tego częścią integralną, są też jego największą ozdobą.

Czytając i tłómacząc „Pieśń o żubrze“, czułem, że twórczy instynkt poety kazał mu się doszukiwać tajemniczych, nie dających się porwać związków pomiędzy pogwarem i poszumem puszczy, a duszą narodu, którego był członkiem, i że odczuwszy ten związek, pogwary i poszumy te zestroił w poemat, mówiący nam o losach tej duszy.

Z takich samych poszumów i pogwarów, takich samych chwytając się „dygresyj“, stworzył i Mickiewicz czwartą zwłaszcza pieśń Ostatniego Zajazdu, tego polskiego arcydzieła światowej poezji dzisiejszej, a w którym również czuć głęboki oddech Polski.

Jedną z tajemnic, dzięki której opis zmienia się w malowidło, jest, obok pewnych warunków wyobraźni, przedewszystkiem uczucie w znaczeniu jego poetyckiem. Po tem, co powiedziałem przed chwilą, domyślamy się już, że obrazy Przyrody, z których pewną tylko przytoczyłem cząstkę,

są u Hussowskiego wynikiem bijącego w oczy, wyolbrzymiałego umiłowania ojczystej Przyrody, umiłowania, które, oczywiście, z równą siłą występuje także u Mickiewicza. Ale w parze z tem uczuciem idzie jeszcze jedno — głęboki pierwiastek obywatelski, intensywne, wprost fanatyczne przejmowanie się losami kraju, chlubienie się, jak w przepięknym ustępie o Witoldzie, przeszłością tego kraju, lęk o jego przyszłość, lęk, połączony z proroczą groźbą, wymierzoną przeciwko zdradzieckim krzyżakom.

Jednakże nie mówiąc już o humanistach, u których uczucie ma zawsze charakter zimnego brylantu, nawet u Mickiewicza — rzecz prosta mam na myśli „Pana Tadeusza", a nie trzecią część „Dziadów" — pierwiastek obywatelski nigdzie z taką potężną, bezpośrednią, liryczną nie wybuchuje mocą, jak u Hussoviana, kiedy, rozpamiętując krzywdy, wyrządzane Polsce przez krzyżaków, łączących się z Turkiem i Tatarem przeciwko tym, którzy zatrzymują nawałę pohańców, gromy swe w takiem, bezpośredniością uczucia nabrzmiałem zamyka wróżbie

„Kto oko ma otwarte na przeróżne znaki,
Na rzeczy bieg, ten widzi, że bliski jest dzień,
Zbrodniarzu głodny! Własne pożeraj wnętrzności,
Od dzikich precz! Krwią własną syć śnieżysty łan!
Żelazo na kowadło znoś i kuj łańcuchy,
Co dzieci twych lub własny twój obciążą kark.
Bóg rękę już wyciągnął i Pomście groźnemi
Ruchami przekazuje twój bezbożny czyn,
Nie rzucił dotąd gromu, mniemasz że da folgę?
Śmierć hyża, nieuchronna, gorzka idzie śmierć..."

Przekroczyłem miarę inauguracyjnego wykładu; prosząc jednak o dalszą, ostatnią już, chwilkę cierpliwości, muszę



zwrócić uwagę na jeszcze jeden szczegół, wspólny Hussowskiemu i Mickiewiczowi. „Pan Tadeusz" rozpoczyna się, poemat „O Żubrze" kończy się apostrofą do Bogarodzicy.

Chyba nie było humanisty w Polsce, któryby nie poświęcił tylu a tylu wierszy Matce Boskiej. Ale jeśli nawet przyjmiemy że potrzeba napisania tych wierszy była wynikiem rzeczywistego uczucia, to uczucie to albo całkowicie się zatraca, albo karleje pod naporem pseudopoetyckich flosków klasycznych. Nie mówię już o tego rodzaju kwiatkach epoki późniejszej, jak owe

„Nie tak wiosna na Hymecie,
Nie tak miłe judzkie zdroje,
Jako Matka, jako Dziecię,
Gdy objęcia splotą swoje" —

albo takie, z czcią Panny Marji nic wspólnego nie mające dziwolągi:

„Jak cypryjski lub lesbijski
Płynie nektar z winogrona,
Tak wypływa pokarm boski
Z dziewiczego Matki łona —
Jak hyblejskie miodne barcie,
Jak arabskich wonność kwiatów,
Z bożej piersi trysł otwarcie
Miły strumień aromatów" (Sarbiewski) —

Nie mówię o tego rodzaju wyskokach sławionej poezji humanistycznej, ale nawet słynny, na karb św. Kazimierza Królewicza kładziony hymn „Omni die dit Mariae" wygląda, mimo wszystko, raczej na naśladownictwo jakiegoś starochrześcijańskiego Prudecjusza, albo — co więcej — na swo-

bodną parafrazę jakiejś ody klasycznej, do Diany lub Cerery, aniżeli na bezpośredni, szczery wylew niekrępowanego niczem uczucia. U Hussoviana niema ani jednego zwrotu, któryby był choćby najdalszem echem jakichś zdawkowych przypomnień. Zrodzona z troski o los ojczyzny i chrześcijaństwa apostrofa ta jest tak prostem, tak niekłamliwem wynurzeniem duszy cierpiącej, a nawskróś szlachetnej — zresztą tylko dusze szlachetne cierpieć umieją — że porwać ona musi nawet ludzi, którzy nie lubią uczuć swoich wyrażać zapomocą form, związanych z pojęciami religijnemi.

„Dziewico, Matko Boża! Gdym pragnął Twe imię
Wypisać tutaj, z trwogi zadrżała mi dłoń.
Nie mogę też zrozumieć, oszołomion w duszy,
Co lepiej — czy zamilknąć, czy przemówić mam,
Zamilknąć, kiedyś godna, aby świat Cię sławił?
Przemówić, kiedy umysł ani język ludzki
Snać nie wie, jakich użyć najgodniejszych słów?
Lecz ufny w Twoją dobroć, wyższą ponad wszystko,
Cokolwiek jest niższego od Boga, o patrz!
Przychodzę z drżącem sercem, błagam przebaczenia
I rzucam się, Marjo, do Twych świętych stóp!
W tym lichym, brudnym płaszczu, z lichszem jeszcze wnętrzem
Modlitwy trwożne z bladych wydobywam ust,
Nie przeto, iżbym godny był rzec chociaż słowo,
Lecz wiem, że Ty nas tylko zdołasz wyrwać z klęsk.
Litując się nad dolą człowieczą, wszak Ciebie
Posadził Bóg na górze niby zbawczy blask,
I jako ptak bezpióre ochrania pisklęta,
Tak Ty, Dziewico czysta, troszczysz się o lud.
Jak matka ku dziecięciu wyciąga ramiona,
Tak w górę Ty podnosisz tych, co padli w proch.



O kwiatu dziewiczego wielki Majestacie!
Swe modły racz dołączyć dzisiaj do mych próśb,
Na wojny patrz zaciekłe, na krwią zlane pola!
Patrz, jakie prawo miecza rości sobie los
Do ludu, co, połączon wiarą Twego syna,
W spokoju winien bratnim żyć po wieków wiek.
Książętom naszym, błagam, daj opamiętanie,
Niech widzą, że zdradzili obowiązek swój.
Przecz każdy z nich, puściwszy cugle świata z ręki,
Z imienia tylko stróż jest, z istoty zaś wilk?
Tymczasem, byśmy mogli odetchnąć, Ty, wroga
Powstrzymuj zażartego, hamuj jego złość,
Niech w jassyr nieszczęsnego tak nie pędzi, ludu,
Bezbronnym niech narodom nie narzuca pęt...!!“

A proszę przypadkiem nie myśleć, że zarówno barwa obrazów jak i ton tego rodzaju wylewów lirycznych jest może poniekąd wynikiem przekładu. Tłómaczyłem wiernie, tak wiernie, że zachowałem, jak już słyszeliśmy, nawet nieodpowiadającą podobnym utworom i dlatego rażącą ucho dzisiejsze formą elegjackiego dystychu.

Duch poematu Hussowskiego jest także duchem czwartej księgi „Pana Tadeusza“; pokrewieństwo obrazów w jednym i drugim utworze niemal oślepia, a przecież niema wątpliwości, że Mickiewicz „Pieśni o żubrze“ znać nie mógł. Poza darowanym w roku 1853 Bibljotece petersburskiej egzemplarzem księdza Małyszewicza, istniał za czasów Mickiewiczowskich jeden tylko egzemplarz krakowskiego druku, egzemplarz Michała Juszyńskiego, w r. 1798 przekazany Bibljotece Czartoryskich w Krakowie. Przypuszczenie, że jeden lub drugi egzemplarz mógł się znajdować w rękach Mickiewicza, byłoby może zbyt dowolne.

Wspólną barwę i wspólny ton zrodziła wspólna ziemia, której oddechem żywili swe wnętrze, jednakie szumiały im bory, jednaki los trapionej i wówczas ojczyzny napełniał trwogą ich serca.

Ale gdyby Mickiewicz poemat ten znał i w nim znalazł bodziec do stworzenia swych obrazów puszczy, czyż i za to nie powinniśmy być wdzięczni naszemu „humaniście"?

Hussowski jest jednem z najpierwszych ale i najsilniejszych ogniw tego wspaniałego łańcucha poetów narodowych, który poprzez Reja i Kochanowskiego sięga do Mickiewicza.

We wspomnianym już dedykacyjnym liście do królowej Bony skarży się poeta, że w Polsce marnieją talenty skutkiem braku uznania. Bona na list nie reagowała; wieki ten prawdziwy syn ziemi w zapomnianym leżał dole; ostatnie dopiero lata usiłują do należytej przywrócić go chwały. Taką próbą są i moje słowa dzisiejsze. Oby były skuteczne. Bo nie godzi się niedoceniać ludzi, nie godzi okazywać się niewdzięcznym czy obojętnym wobec tych, którzy z ojczystego wyszedłszy gruntu, pragnęli twórczem, ukochania pełnem słowem dać świadectwo owocodajnej żyzności tego gruntu.



# O SIENKIEWICZU
## (RECENZJE I PRZEDMOWY)

Hołd, jaki składamy dzisiaj pamięci wielkiego twórcy, nie może mieć cechy, że tak powiem, epitafjalnej, nie może zawierać w sobie tych momentów, z których dałby się złożyć jakiś wszechstronny, życie i czyny zgasłego olbrzyma sławiący, w kamiennej czy bronzowej płycie wyryty napis grobowy. Nie może być trenem żałobnym, jakkolwiek wypadek, który, zewnętrznie rzeczy biorąc, tak ogromną uczyniwszy wyrwę w bojującem społeczeństwie naszem, ogromną, powszechną, narodową wywołał żałobę. A nie może być ani tem ani tamtem dlatego, ponieważ rozpadła się wprawdzie ta kruszyna lichej, znikomej gliny, z której Bóg ulepił kształty oddychającego, ruszającego się człowieka, ale z tą kruszyną nie odeszła od nas jej treść, nie odszedł nieśmiertelny jej duch. I nie tylko duch, który, jako ożywiająca siła każdej wogóle istoty, jest bytu tej istoty jedynym niezaprzeczonym warunkiem i choć w pewnej chwili porzuca ją na rozkład i zniszczenie, sam przecie, według najgłębszych naszych wierzeń, zniszczeniu i rozkładowi nie ulega, lecz żyje dalej na wieki.

Nie! nie odeszła od nas tą szczególna, nie wielu wybranym jednostkom dana, do mocy Bożej najbardziej zbliżona potęga duchowa, która odrębnemi rysami w twórczym ujawniwszy się czynie, posiada dla oczu, widzących jeszcze więcej, niż blask i barwę, kształty nieomal namacalne, kształty jakiegoś realnego, acz dzięki tajemnicy twórczości, co kształty te rozszerza i wydłuża, prawie że niesamowitego wielkoluda.

Niejeden z nas, ile razy w szczęśliwej, rozkosznej chwili wydarzy mu się wziąć do ręki dzieło Ajschylosa czy Eurypida,

Szekspira, Mickiewicza czy Słowackiego, ulega nietylko wszechmożnemu urokowi tego dzieła, ale, poddawszy mu się cały, czuje bezpośrednią bliskość jego twórcy, miewa wrażenie, że widzi przed sobą natchnionemi błyskami rozświetlone oczy, że widzi rozchylające się wargi i słyszy poszept tych warg, tak każdemu z tych twórców właściwy, a tak u wszystkich wspólną mający cechę wieczności, poszept, który mówi nam: „jestem! nie umarło me dzieło, ale i ja nie umarłem, lecz jestem!“ I wówczas prawie z zabobonnym, a przecież nie zabobonnym, bo na wierze w nieśmiertelność ugruntowanym, acz z wyobraźni płynącym odwracamy się lękiem, czy ten tajemniczy fluid, wypełniający atmosferę naszego pokoju, nie przybrał poza naszemi plecami form rzeczywistych, czy nie stoi poza nami już nie duch tego czy owego twórcy, ale on sam i nie tylko taki, jakim bywał w natchnionych godzinach tworzenia, ale jak się w roisku ludzi zwykłych w ludzkiej, wspólnoty z powszedniem życiem świadomej obracał skromności.

I zdaje mi się, że tego uczucia, tego wrażenia doznajemy wszyscy — bo jakżeż mogłoby być inaczej, jeżeli wszyscy początek nasz i warunki trwania naszego, nieśmiertelności naszej jednakowemu zawdzięczamy źródłu?

I zdaje mi się, że i w tej chwili, kiedy, idąc za przykładem całej Polski, w takich gromadnych skupieniach rozważającej doniosłości historycznego faktu, iż nad obszarami wewnętrznego życia panował w ostatnich lat dziesiątkach prawie że niepodzielnie, a w każdym razie najwszechstronniej Sienkiewicz i że Sienkiewicz zeszedł z widomego świata, tak głęboko i w ostatnich dniach swego życia zaznaczywszy wspólność swoją z Polską walczącą, z Polską cierpiącą — otóż zdaje mi się, że i w tej chwili, kiedy i myśmy się zebrali, ażeby w sposób uroczysty uczcić jego pamięć, której czcić nie przestaniemy, On jest tutaj obecny i że raduje go niewstrząśnięta niczem wiara, którą w nas z takim twórczym budził zapałem, wiara w Jego i naszą Polskę, i że z pobłażliwością wielkiego a skromnego ducha przyjmuje choćby i najnieudolniejszy wyraz naszych hołdów. Najnieudolniejszy — bo jakąż znaleźć miarę, ażeby należycie a bez zdawkowej przesady, ocenić ten ogrom wysiłków twórczych, zamkniętych w jego tak rozległem, a tak głębokiem, na granitowych podstawach zbudowanem dziele? Zwłaszcza po tem wszystkiem, co o nim napisano poprzednio i co z powodu skonu w ostatnich powiedziano dniach, jakiż subtelny trzeba mieć aparat, ażeby, rozkładając to dzieło na cząstki, wydobyć jeszcze jakieś nowe, ogółowi nieznane wartości! Jakichże do odsłaniania tajemnic tego dzieła potrzeba świateł, ażeby światła te nie przyćmiły się albo i całkiem nie zgasły w tych tak już niemal wszystkim dostępnych, wspaniałych odbłyskach barw kosztownych, znamionujących przedziwną różnorodność życia zamkniętą w Sienkiewiczowskiej księdze?

Jakież w duszy własnej potrzeba mieć pierwiastki liryzmu, jakiemż dusza to powinna być narzędziem muzycznem, jakim niezwykłym bardonem wojennym, ażeby mogła godnie zawtórzyć bohaterskiej liryce, rozbrzmiewającej ponad polami Zbaraża czy u murów Częstochowy, tej bohaterskiej liryce, która, zamknięta w zewnętrzne formy historycznego eposu, formy te rozsadza i nieprzebranym, niezgłębionym, można powiedzieć, potopem uczucia zalewa tak haniebnie niszczony, tak małostkowo niejednokrotnie pogardzany, tak mizernie opluty łan polski i już nie wsiąkając, ale pełną falą wdzierając się w serca wyrosłych na tym łanie, niepewnych siebie, niepewnych własnego, narodowego „ja“ epigonów, budzi w tych sercach choćby nawet przy bezkrytycznem, jeśli kto chce, umiłowaniu przeszłości, analogon tego samego

uczucia, budzi w nich nie dającą się już niczem przytłumić miłość ojczyzny i bohaterską wiarę w jej przyszłość.

Jeżeli był czas, że zbyt może drażliwy, z podłoża pewnych zwalczających się prądów społecznych wyrosły, szukaniem nowych środków odrodzenia uzasadniony zoilizm nie przyznawał, albo nawet wprost odrzucał to tak doniosłe wychowawcze znaczenie historycznej pieśni Sienkiewiczowskiej, to powodu tego zacietrzewienia, tak ostatecznie, jak powiadam, zrozumiałego, należałoby przynajmniej po części szukać w stronniczem, małodusznem zacietrzewieniu się i drugiej strony.

Druga to strona, bardzo zresztą kulturalna, mająca niejednokrotnie przebłyski świadomości, że rola jaką odegrała w stuleciach minionych, jest już dzisiaj przeżytkiem, ale przeżytkiem, z którego sercu, pomnemu dawnej chwały, trudno jest zrezygnować — druga to strona, pragnąc tak gruntownie zachwiane kastowe stanowisko swoje utrwalić przynajmniej na chwilę odwołaniem się do barwnych, wyrazistych rysów rycerskich przodków swoich, czyniła wszelkie wysiłki, ażeby imponujący, świeży talent na swą wyłączną zagarnąć własność i potężne malowidło, z którego właśnie wyzierały te rysy, przedstawić jako hołd, złożony temu, co nazywamy poprostu szlachetczyzną.

Była to pomyłka, nieszkodliwa dla dzieła, gdyż dzieło to z błyskawiczną szybkością dotarło do najodleglejszych, najmniej spodziewanych gniazd życia i dzięki cudownemu instynktowi ludu w gniazdach tych do dzisiaj naczelne zajmuje miejsce. Chłop polski, w którym przecież dotychczas jeszcze nie zamarła pamięć krzywd szlacheckich, ten chłop, który dotychczas jeszcze winę upadku i rozgromu Rzeczypospolitej przypisywać lubi szlachcie, ten chłop, szczęśliwym trafem dostawszy do ręki „Ogniem i mieczem", odrazu, instynk-



townie, zrozumiał i odczuł istotną, zasadniczą, wewnętrzną wartość czynu, zamkniętego w tej pieśni. Dostrzegł w niej odrazu to, co i my dzisiaj widzimy, a widzimy tem lepiej, im bardziej oddalamy się od walk i sporów, które towarzyszyły powstawaniu i pojawianiu się dzieła: W rycerzu idącym na bój z Krzyżakami, Szwedem czy Moskwą, widział nie przedstawiciela gnębiącej go warstwy społecznej, a tylko bohatera który z imieniem Marji na ustach uderzał na wroga wspólnej wszystkim Ojczyzny, bohatera, który za nic własne mając życie, jeżeliby nie miało się przydać w przenajświętszej służbie sprawy powszechnej, z mistyczną niemal zaciekłością dla sprawy tej na bitewnym umiera szlaku.

I to jest wynik tego bohaterskiego liryzmu, który rozpierał ducha Sienkiewicza, a który w triumfalnym miał wybuchnąć hymnie, opiewającym krwawy przebój na polach grunwaldzkich, kiedy to z sobą dwie zwarły się rasy, kiedy to Mistrzowi Zakonu, nie lękającemu się ludzi, ale który „może zląkł się Boga, trzymającego już tam na wysokościach szale zwycięstwa", pobladłe zadrżały wargi i łza po czarnej stoczyła się brodzie, kiedy „ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos, do grzmotu niebieskiego podobny, „Boga-Rodzica", kiedy razem z tą pieśnią prastarą „moc wstąpiła w kości polskich rycerzy, kiedy zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać i jakby powtarzać jeziorom i łęgom całej ziemi, jak długa i szeroka" owo błagalne, do wielkiego zwycięstwa prowadzące „Kyrie eleyson!"

Bohaterski liryzm, który zakutemu w czarną zbroję Sulimczykowi Zawiszy w samą śmierć przedzierżgnąć się kazał i „z namarszczoną brwią i ściśniętemi nozdrzami walić spo-

kojnie, a rozważnie, jakby zwykłą odbywał robotę", w żelazny mur wroga i na okrwawione rozbijać go szczęty. —

Bohaterski liryzm, który tym wszystkim Powałom i Zyndramom, tym Dobkom i Nałęczom, tym Tarwiejom i Jelitczykom, tym Paszkom i Zychom, tym Cztanom i Bogdanieckim kazał iść „jak idzie ogień po suchym stepie", ogień „co pożera krze i trawy". —

Bohaterski liryzm, który setkom ramion kazał w zapalczywym kupić się ferworze około Marcina z Wrocimowic, z krakowską padającego chorągwią, rozpętać się jak orkan i jak orkan szaleć dopóty, dopóki „święty dla wszystkich znak królewskiego orła w koronie" nad zwycięskim nie zabłysnął szeregiem. —

Bohaterski liryzm, który na tle malowideł, należących do najcudniejszych w literaturze świata, godnych rywalizować chyba z wyolbrzymiałemi obrazami w nieśmiertelnych skokach Mahabharaty, wyolbrzymiałe, nadludzkie, na pierwszy rzut oka nierzeczywiste umieszczał postaci, snać zrodzone w jakiejś tajemnic pełnej, północne burze płodzącej Walhalli!...

Postaci nadludzkie, nierzeczywiste!

Wykrzyknik ten słyszymy niejednokrotnie i dzisiaj i to nie jako wyraz uwielbienia dla tej bogatej galerji Jurandów, Jaremów, Kmiciców, Wołodyjowskich, Podbipiętów, ale w formie wyrzutu, że postaci te rozpierają szablon, w jaki dzisiejsze oko nasze zamyka ludzi dzisiejszych, albo że postaci te tak rzekomo rażąco odskakują od portretów, wiszących na ścianach starych dworzyszcz szlacheckich, od malowideł, przekazanych nam w kronikach dziejopisów, albo że stary, rdzą zjedzony, na historycznych polach zbaraskich wyorany pancerz żelazny zbyt drobnych jest rozmiarów, ażeby zdołał pokryć pierś sienkiewiczowskiego, legendarnych Waligórów



i Wyrwidębów przypominającego szermierza! Czy ubolewanie to i zarzut ten słuszny? Bynajmniej! Wypowiadają go często ludzie dobrej woli, którzyby jednak chcieli, ażeby poeta tworzył tak, jak oni tego pragną według miary oka, zaprawiającego się na ludziach dzisiejszych, spotykanych na ulicach i w miejscach publicznych, przy warstatach pracy powszedniej, na tłumowisku dostępnej wszystkim zabawy.

Zapominają zaś o tem, że prawdziwy twórca całkiem inne może mieć oko i całkiem inne posiada prawa, świadomie lub nieświadomie nakładające na niego obowiązek, który spełnić musi, nie chcąc własnemu sprzeniewierzyć się sumieniu, obowiązek, który każe mu tworzyć, tak jak on, poeta, widzi, a nie jego widz, czytelnik czy słuchacz. Zarzut byłby słuszny, gdybyśmy stanęli przed ogromnemi, w kamiennej bryle marmuru wykutemi dowodami choćby najbardziej mistrzowskiej techniki zewnętrznej, dowodami, będącemi wyolbrzymiałem nad miarę ludzkiego kształtu upostaciowaniem pojęć abstrakcyjnych, albo choćby i najżywszych, najpłomienniejszych drgań, uczuć, porywów i wybuchów duszy ludzkiej, jednem słowem, gdybyśmy mieli przed sobą alegorję.

Ale bohaterski liryzm Sienkiewicza tworzył nie alegorje, jeno symbole i to symbole, tak dalekie od niebezpieczeństwa zlania się w jedno z alegorjami, co się częstokroć i najniepośledniejszym wydarza mistrzom, że, patrząc okiem nieuprzedzonem, a umiejącem w ukrytych pokładach duszy ludzkiej dostrzegać zawiązki sił tajemniczych, z których rodzą się potężne duchy Ajschylosów, Szekspirów, Mickiewiczów, czy Napoleonów, dostrzeżemy i w postaciach sienkiewiczowskich sumę może i niezłożonych warunków, ale przecież warunków, na rzeczywiste składających się życie.

Tworzyła legenda ludowa niesamowite postaci Waligórów i Wyrwidębów — być może jako resztki wspomnień o ludziach

z jakichś odległych epok ziemi naszej, kiedy wszystko, co żyło, do potwornych, dla oka naszego niezwykłych wyrastało rozmiarów.

Tworzyła je może jako wynik tęsknoty za siłą, która ludowi imponuje, a której mu nie stało i którą chciałby posiąść dla zwycięskich zapasów z życiem — tworzyła je może, ta legenda, jako przeczucie czy odczucie tajemniczych, zbawiających czy niweczących, dla prostego rozumienia niedostępnych sił przyrody i siły te na swój symbolizowała sposób, symbolizowała je tak, że zamknięte w wyolbrzymiałe kształty ludzkie, stanęły przed duszą człowieka prostego mimo tej wyolbrzymiałości zrozumialsze, rzeczywistsze.

Pod pewnym względem wyobraźnia Sienkiewicza przypomina mi właśnie tę odwieczną legendę ludową: Miał on w sercu swem wielką tęsknotę ujrzenia cudu, cudu zbawienia ukochanej nadewszystko ojczyzny. Wiedział, że aby cud się ten urzeczywistnił, niezwykłej potrzeba na to potęgi, nadludzkiego poprostu, w tym niesłychanym rozgromie, bohaterstwa, zarazem też albo wiedział, albo przeczuwał — nie! wiedział na pewno, że w każdym najlichszym choćby człowieku jakieś ukryte szlachetne drzemią siły, które w pewnych okolicznościach i w chwilach jakiejś niezwykłej, nawet i przypadkowej podniety jakiemś niezwykłem mogą zagorzeć ogniskiem. A że najpożądańszą dla niego siłą było uczucie miłości ojczyzny, uczucie czynne, nieodłączne od odwagi i poświęcenia, więc te przedewszystkiem czynniki, w których istnienie na dnie duszy ludzkiej tak głęboką miał wiarę, umieścił w duszy swoich bohaterów i do takiej tchnieniem genjuszu swego rozdmuchał je potęgi, że zdają się rozsadzać ludzkie bohaterów tych kształty, że przed nami, nie posiadającymi tego twórczego, bohaterskiego liryzmu, będącego głównym motorem i główną cechą sienkiewiczowskiej twórczości, bo-



haterowie ci stają jak gdyby z cechą nieprawdopodobieństwa. A przecież Sienkiewicz się nie mylił. Wojna dzisiejsza dała albo i daje niesamowite wprost dowody tego jednostronnego, wyłącznego rozwoju duszy ludzkiej. Widzieliśmy i widzimy, jak niejeden żołnierz polski, o którym niktby przedtem nie pomyślał, że ma w sobie takie zawiązki bohaterstwa, dzisiaj, z najlepszą wiarą, z umiłowania ojczyzny wynikłą, na krwawy ruszywszy przebój, walczy i pada w tym boju i choćby nawet już sam nie szeptał, konając „na pewne!“ to wyszepce przecież jedno może i tragiczne dla niego i dla nas wszystkich, ale mimo swego tragizmu otuchę i wiarę zawierające „a może?!“

Jest w takiem poświęceniu, jest w takiej odwadze, jest w takiem konaniu jak gdyby jakiś potężny, mistyczny rys religijny: Sienkiewicz, jak każdy od lekkomyślności daleki, to znaczy, sztukę swoją poważnie pojmujący, prawdziwy twórca, był człowiekiem głęboko wierzącym. Jest w takiem poświęceniu, jest w takiej odwadze, jest w takiem konaniu coś z ostatnich chwil Podbipięty Longina, który śmierć bohaterską, śmierć za ojczyznę za religijny uważając obowiązek, za jakiś zwykły akt wiary, za jakiś afekt strzelisty, co to wielkiemu a świętemu biedaczynie z Assyżu Chrystusowe wypalał stygmaty, każdemu świstowi strzał coraz to innym odpowiadał wersetem z litanji, choć nie wiedział, bo za skromną, za pokorną, za cichą miał duszę, iż „aniołowie niebiescy duszę tę wezmą i położą ją jako perłę jasną u nóg Królowej Anielskiej.“

A sienkiewiczowska prawda historyczna?

W głośnym ongi występie Zygmunta Kaczkowskiego czytaliśmy o księciu Jeremim Wiśniowieckim, że był to w rzeczywistości człowiek okrutny, że ze zwierzęcą srogością traktował oddane sobie życie ludzkie, że największą dlań rozkoszą było stawianie jak najliczniejszych szubienic, że szlachta

dlatego tylko lubiła tego „oligarchę warchoła", ponieważ był niesłychanym wprost gnębicielem ruskiego ludu, że z powodu swojej krwiożerczości w podaniach tego ludu żyje dotychczas w postaci apokaliptycznego potwora.

Nie jestem historykiem, więc sądzić nie mogę, ile w charakterystyce tej jest prawdy. Chcę przypuszczać, że jest w tem prawda, prawda aż nadto rozpaczliwie smutna, prawda, która mogła stać się jedną z przyczyn tego okrutnego losu, jaki nas pogrobowców niezależnej, wolnej Rzeczypospolitej, z taką uporczywością gnębi do dzisiaj.

I takiego to — powiedzmy — złoczyńcę wybrał sobie Sienkiewicz za jednego z najprzedniejszych swych bohaterów, miał odwagę ozłocić najjaśniejszemi blaskami swej poezji. Atoli w odpowiedzi tym wszystkim, którzy z tego faktu wyciągali albo dotychczas jeszcze śmią wyciągać wniosek, dotyczący jakoby wstecznych historjozoficznych poglądów poety, zapytajmy o jedno: czy Sienkiewicz chociażby jednym tonem czy półtonem gloryfikował haniebne czyny Wiśniowieckiego? Czy w swojej, dla wielu zbyt optymistycznej a przecież uzasadnionej wierze w istnienie szlachetniejszych pierwiastków w najpotworniejszym choćby człowieku, nie dostrzegł i w tej duszy, tak ponurej, jakowychś błysków jaśniejszych, czy nie dostrzegł jakichś zawiązków potrzebnego dla zbawienia Polski poświęcenia, bohaterstwa i mocy niezłomnej, czynników, które w pewnych warunkach mogą rozwinąć się w gwałt morderczy i niszczycielskie, prawom bożym i ludzkim urągające okrucieństwo, podczas kiedy w innych warunkach, przez jakąś błogosławioną siłę w odpowiednie skierowane koryto, umiałyby stać się wypełnieniem marzeń, rozpierających duszę poety.

Nie podobny jest książę Jeremi Wiśniowiecki historyczny do Jaremy z poezji, a czyż świetlana postać Szyllerowskiej



Marji Stuart podobna jest w czemkolwiek do historycznej, tak zbrodniczej Marji Szkockiej? I czy ktokolwiek z nas, odczuwających poezję, żałował kiedy choćby na chwilę, że w danym wypadku optymistyczny twórca niemiecki taką właśnie, a nie inną, stworzył męczennicę losu?

I czy nam zależeć może coś na tem, że wspaniałe malowidło Jaremy, przez naszego, umiłowaniem ojczyzny i niepohamowaną tęsknotą za jej szczęściem przejętego Optymisty, nie jest portretem, przed którym staje rysy jego badający historyk, ażeby rysy te sharmonizować z duszą pierwowzoru?

Prawda historyczna nie ma nic wspólnego z prawdą poetycką. Wiemy o tem wszyscy, a udowodnił to na kilkaset lat przed nami, mimo całej historyczności swojej, mimo trawestowania całych ustępów z kroniki Holinsheda czy Halla, nie kto inny, tylko sam Szekspir, ten Szekspir, którego jako niedoścignionego twórcę, mieli odwagę romantycy niemieccy, a obok nich spokojny, rozważny Goethe porównywać ze Stwórcą.

Zgasł niezwykły, twórczy Optymista polski, zgasł w kraju nam obcym, ale nie wrogim — wojenna zagnała go tam zawierucha. Zmarł na posterunku służby narodowej, której charakter przyniósł mu w pewnych kołach, jakiś nieśmiały pomruk wyrzutu, zamiast głośnej, służbę tę błogosławiącej wdzięczności. Ale rozdźwięki te były przemijające, zgłuchły u trumny wielkiego pisarza i wielkiego patrjoty, zamilkły u drogich, dzisiaj powszechną żałobą narodową uczczonych zwłok, któreby o jak najprędzej na ojczystej, wolnej i niepodległej spoczęły ziemi.

# SYZYFOWE PRACE
## (RECENZJE I PRZEDMOWY)

Niedawno założone Lwowskie Towarzystwo Wydawnicze zadebiutowało bardzo korzystnie, wydawszy na początek „Syzyfowe prace" Maurycego Zycha.

W szeregu autorów pokolenia najmłodszego nazwisko to, a właściwie pseudonim, zajmuje jedno z miejsc najpoczestniejszych. Powiedziałbym, że pomiędzy powieściopisarzami ostatniej doby Maurycy Zych jest najbardziej utalentowany i najdonioślejszy wpływ wywrzeć może — swoją obywatelskością.

Obywatelskość, którą dzisiaj — miejmy nadzieję, że nadaremnie — usiłują wygnać z poezji, poruszanie żywotnych kwestyj publicznych, stanowiących zasadnicze podstawy naszego życia narodowego — oto na czem przedewszystkiem polega doniosłe znaczenie młodego pisarza. Znakomity obserwator, bystrem okiem chwytający przedmioty, aby je ze zbyt może drobiazgowym przedstawić realizmem, dobry psycholog, umiejący wejść w duszę człowieka, śledzi ukryte jej drgania i przeobrażenia, wyrobił sobie Zych i mistrzostwo formy, nieustępujące naszym „największym". Jeżelibyśmy chcieli szukać jakiego pokrewieństwa ze „znanymi", to autor nasz zbliżony jest może najbardziej do Prusa. Według utartych pojęć estetycznych „Syzyfowe prace" nie są powieścią. Ale co obchodzą utarte pojęcia estetyczne prawdziwego, iskrą bożą obdarzonego artystę? Według własnych tworzy on prawideł, nie pytając się o to, czy zawodowi przyklasną mu „szufladkarze"..

W „Syzyfowych pracach" Numa za Pompiljusza nie wychodzi, nie ma w nich nawet wcale tak zwanej intrygi miłosnej,



bo budzące się (na ostatnich kartach książki) w sercu młodzieńczem uczucia, nie doprowadziły nawet do faktycznego zbliżenia się do wybranego przedmiotu.

Nowe dzieło Zycha to studjum duszy chłopięcej, która na tle smutnych niezmiernie stosunków szkolnych w zaborze rosyjskim rozwija się prawie nieświadomie, wbrew intencjom działającego nań otoczenia, aby się stać duszą prawdziwie polskiego obywatela, duszą człowieka, który spostrzegłszy jad, sączony do jego wnętrza przez chytrych wrogów, tem większą do nich zaczyna pałać nienawiścią, im silniejsze były ich zabiegi, aby go wynarodowić. Marcinek Borowicz jest synem niezamożnego szlachcica, chłopcem o zdolnościach przeciętnych, który nasamprzód w szkólce wiejskiej pod okiem zmoskwiczonego Wiechowskiego, a następnie w gimnazjum w Klerykowie przykłada się do „stichów" i „diktowki".

Z rodzinnych Gawronek nie wiele wziąwszy zasobów moralnych, gdyż poczciwi, zapracowani rodzice nie mieli czasu, a może i nie umieli zajmować się jego duszą, aby ją ustalić przeciw zapędom rusyfikacyjnym, staje się niebawem jednym z tych uczni, którzy w oczach dżejatieli zdobywają sobie markę „porządnych", „błagonadiożnych".

Bez skrupułu chodzi do teatru rosyjskiego, z przyjemnością zjada cukierki, przesłane mu z loży gubernatorskiej w nagrodę za lojalność, z zapałem wraz z innymi kolegami oddaje się czytaniu Puszkinów i Lermontowów, peroruje na „Polszę" za jej wyzucie się z „słowiańskości" i za karygodny jej szowinizm.

Załążek „ugodowca", szuka u łaskawych na niego władz szkolnych protekcji dla swoich kolegów, a sam myśli o karjerze, którą przy takiem oportunistycznem patrzeniu na świat i jego sprawy łatwoby zdobył.

Czytelnik mimowoli nabiera do niego wstrętu, a równo-

cześnie żal mu tej duszy młodej, tak wcześnie zatrutej i zatruwającej dusze kolegów. Naraz staje się cud. Do Klerykowa zjeżdża Bernard Zygier, siedmioklasista, wyrzucony ze szkół warszawskich. Zapisuje się na nieobowiązkowe lekcje języka polskiego i na jednej z nich prawdziwą w umysłach i sercach kolegów sprowadza rewolucję.

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza — pyta go się profesor Sztetter, który także był kiedyś „Farysem", a dzisiaj w łapach niedźwiedzia moskiewskiego stał się potulnym, wskutek potulności tej zgorzkniałym, szlachetniejsze uczucia na ostatnie dno wnętrza spychającym belfrem.

—No, zdaje się...— odpowiada Zygier— niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

— Ja się o to nie pytam. Nie chcę wiedzieć! Jakiż utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? „Trzecia część...", „Improwizacja", „Pan Tadeusz", „Księgi Pielgrzymstwa".

Sztetter umilkł... Po chwili zapytał jeszcze: — No, a cóż pan wiesz o Mickiewiczu?

Gdy Zygier z zapałem opowiadać począł o młodości poety, o Związkach Filaretów i Promienistych, oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan co może na pamięć?

Zygier wygłosił Redutę Ordona.

Potężne obrazy mickiewiczowskiego poematu pociekły jak lawa gorąca, zalały w sercach młodzieży miłość dla Puszkinów i Lermontowów, zapaliły je ogniem nieznanego dotychczas uczucia dla pogardzonej, „szowinistycznej", „niesłowiańskiej Polszy", dla jej męczeństwa, dla jej nadludzkich niemal poświęceń.

Jest to kulminacyjny punkt książki i zwrotny w rozwoju duszy Marcinka.



Od razu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stanęła mu przed oczami cała nędza dotychczasowych jego postępków. Wściekły był na Zygiera, że mu ją uprzytomnił, ale równocześnie dusza jego uleciała do rodzinnego lasu, na którego skraju sterczał krzyż nad samotną mogiłą zamordowanego powstańca. Rok czy dwa lata temu mówił mu o tym powstańcu kłusownik Noga, opowiadał mu, jak od kuli chłopskiej zginął w tem miejscu jeden z kozaków, powstańca tego wlokących za sobą.

Opowiadanie to przeszło wówczas bez wrażenia: interesowały go dzikie kaczki w bagnie, słomki w lesie i głuszce, których w lesie nie było. Dopiero teraz natchnione słowa wieszcza poniosły go na olbrzymich skrzydłach swoich na ten grób opuszczony, pod ten krzyż butwiejący.

Borowicz zamknął oczy, ścisnął zęby, ażeby głośno nie zaszlochać, a z pod ciężkich powiek spłynęła mu łza po twarzy.

To nagłe wydobycie polskiej duszy z wnętrza, zalanego kałużą demoralizacji moskiewskiej, jest szczegółem psychologicznie niezmiernie uzasadnionym, pod względem roboty artystycznej wspaniałym.

Nietylko Borowicz, ale wszyscy jego koledzy innymi zupełnie stali się ludźmi. Ogarnął ich zapał do rzeczy ojczystych; poddasze jednego z kolegów stało się odtąd celem potajemnych schadzek, kuźnią, w której staliły się dusze przyszłych obywateli-polaków. Duszę Marcinka ogarnęła mściwość, znalazł dla niej upust, zmasakrowawszy (w przepysznej scenie) jednego z najpodlejszych zaprzańców, profesora Majewskiego, szpiegującego młodzież.

Przygotowując się do ostatecznych egzaminów, zakochał się Marcinek w „Birucie", córce lekarza wojskowego, ożenionego z Rosjanką, kobietą szlachetną ale nieszczęśliwą.

Nigdy Borowicz do wybranej swego serca nie przemówił

ani słowa, a gdy chciał przemówić, „Biruta" była już w „głębokiej Rosji". Młodzieńca opanowała rozpacz, zapłakał i nie był w stanie zapanować nad sobą, „wspomógł się dopiero na siłach, czując uściśnienie kościstej, a jakby z żelaza urobionej prawicy" byłego kolegi Radka, który znalazł się przy boku złamanego. Ten Radek, symbol przyszłości, spoczywającej w ludzie, należy do najoryginalniej, najświetniej skreślonych postaci w bogatej galerji typów, wypełniających książkę Zycha.

Syn fornala, własną pracą, wśród głodu, chłodu i upokorzeń przepycha się przez szkoły. Tej prawej, szczerej, prostej a przytem zaciętej natury nie olśniewa blask potęgi rosyjskiej, ucieleśnionej w inspektorze Zabielskim i dyrektorze Kriestoobrjadnikowie, którzy otaczają względami dających się demoralizować uczniów. Prawdziwie chłopską obdarowany siłą, pięścią mści się na jednym z kolegów, wyśmiewających fornalskie jego pochodzenie, a na zebraniach studenckich w domu Gontali, gdy koledzy obawiają się rewizji, staje na środku izby jak uosobienie siły, mającej zmiażdżyć wroga, staje „z głową sięgającą pułapu, z kosmykami włosów spadającemi na czoło, z wzrokiem przymglonym, a raczej skierowanym na coś bardzo dalekiego", a potem usiadłszy zaczyna „śpiewać głosem szorstkim ale mocnym, jak szczęk stali, pieśń nikomu nieznaną:

...Młoty w dłoń,
Kujmy broń..."

Zbyt szczupłe ramy fejletonu nie pozwalają mi zapoznać czytelników z szeregiem innych postaci, nie pozwalają mi przytoczyć szczegółów, dowodzących bogatej malarskiej natury Zycha (prześliczny bywa u niego krajobraz), nie pozwalają mi zastanowić się obszerniej nad właściwościami jego humoru, którego pełno w scenach studenckich.

Obrazy śniegiem pokrytych pagórków, opisy łąk, stawu i lasów, wizyta inspektora w szkole Wiechowskiego, figury dwóch emerytowanych radców w domu starej „przepiorzycy", walka na pięście, stoczona przez księdza prefekta z inspektorem na schodach chóru kościelnego o śpiew polski (zapasy te to jeden z czynników, wpływających nieświadomie na ukształtowanie się duszy Marcinka), sceny w lesie z wabiącym głuszce strzelcem Nogą itd., itd., to perły bogato rozsiane w tej nietylko bardzo zajmującej, ale pod względem obywatelskim ogromnie doniosłej książki. Zych pierwszy dał nam wyczerpujący, artystycznie odtworzony obraz kultury nowoczesnej szkoły rosyjskiej na ziemiach polskich. Wlał w nas otuchę, że dotychczas szatańskie zabiegi tej szkoły nie zdołały dotrzeć do głębi serca młodzieńczego, choć je po wierzchu skosiły. Równocześnie jednak zawarł w powieści swojej przestrogę, skierowaną ku społeczeństwu, które powinno silniej interesować się wychowaniem swych dzieci, pozostawionych zupełnie na opiece Zabielskich i Kriestoobrjadników.

# LEĆCIE ME PIEŚNI

## PRZEDMOWA DO POEZYJ ADAMA DOBROWOLSKIEGO

Nie można bez rozrzewnienia czytać tych prostych, a serdecznych słów, z któremi umierający młodzieniec wzywa swe „pieśni skrzydlate, kwitnące wielką miłością", aby, „poleciawszy do ludzi, stały się dla nich jutrznią złotą, a potem wróciły do niego, wróciły w chwili, gdy śmierć słodka zajrzy mu w oczy, gdy serce jego poniosą za wrota cmentarne i w chłodnej zagrzebią je ziemi..." Ta niewyszukana szczerość, ta prostota skłoniła mnie też do poprzedzenia niniejszej książki kilkoma wyrazami, mającemi wprowadzić ją w świat, jeżeli potrzeba wprowadzać w świat, czy zalecać dźwięki płynące wprost ze serca, i to ze serca, które, zda się, nigdy nie znało pozy, któremu w istocie rzeczy obcą była wszelka sztuczność i blichtr wszelaki...

W książce tej spotka się czytelnik z jakąś wyrafinowaną formą, godną mistrza Celliniego, nie dopatrzy się prawdziwej potęgi tam, gdzie, według widocznych, niewątpliwie szczerych zamierzeń poety, potęga ta oślepiającemi miała buchać płomieniami. Mimo powtarzających się co chwila inwokacyj i apostrof, aby „uderzyć w czynów stal, aby pod wicher sztandary wznieść; w broń przekuć miljon dusz, łańcuchem sprzęgnąć tłum i w serce wchłonąć moc rycerskich, polskich dum", mimo tych wszystkich, pozorami siły tryskających, do tej czy owej uroczystej, wspomnieniami dziejowemi nabrzmiałej chwili zastosowanych wykrzykników, prawdziwej, zapładniającej, rycerski entuzjazm budzącej mocy hasłowe nawoływania te nie posiadają, jakkolwiek są niejednokrotnie lepsze od wielu innych, tego rodzaju okolicznościowych, rymowanych



artykułów publicystycznych. Bo i tutaj znajdzie się niejeden zwrot, wyrwany bezpośrednio z duszy, i tutaj uderzy nas nie frazesowe, ale istotnie z tętnem młodej krwi spojone zapewnienie, że „jest jeszcze młodość na świecie, że młodość ta istotnie zamiarami sięga aż do nieba, że nie wątpi, lecz życie całem kocha sercem, że nie w mogiłę strąca ojców spuściznę, tylko nosi ją w sobie, że ufa w moc własną i na własną liczy siłę, że w Polskę wierzy zawsze..." I tutaj w tych wszystkich, zdawkowym patrjotyzmem zatracających „Czuj duchów", prawdziwy z dna serca przebija się sentyment, i dla tego sentymentu też, dla tych jego śladów, dla tych jego przebłysków nie wahano się w książce niniejszej zatrzymać i tych, na ogół wziąwszy słabszych utworów..

Natomiast w formę miłą, prostą, bezpretensjonalną zamyka przedwcześnie zgasły młodzieniec swoje miłe, proste, bezpretensjonalne wrażenia doznawane z chwilą, gdy, wstawszy od dziennikarskiego biurka, idzie poza miasto, w pole, i patrzy, jak niebo pali się wielkim barw przepychem, jak w czerwcowe rano, błękitne niby chabrów łąki, zatrzymuje się przy wiejskim kościele i widzi kraśniejące tęczą rzędy sukman chłopskich, las makowy dziewek, i słyszy jak przeciągłym hymnem organowym wtórują gawędy lip i wiewów szumy. Upaja go wówczas widok róż rozkwitłych, czeremchy przepełniają duszną swą wonią młode jego ciało, muzykę cichych szeptów, śpiewa mu wówczas ogród, i wtedy też, w pewien wieczór sierpniowy, odurzony zapachem rezed, odczuwa istotnie szczerze, choć w znaczeniu poetyckiem może niezbyt głęboko, jedną ze zwykłych tragedyj ostatecznego pożegnania.

Prawda, że majestat wielkanocnych dzwonów przemówi przezeń nie bezpośrednią mocą oczarowanej własnej jego duszy, jeno sugestją cudownych dźwięków tetmajerowskich, za to jednak widok złocistego morza zbóż, śpiewnym szumią-

cych szeptem, natchnie go znowu do stworzenia prawdziwie pięknego, nastrojowego obrazu, który nie powinien zaginąć w prochu niepamięci i dlatego też warto było zaryzykować wydanie tej książki; to samo da się powiedzieć i o „makach", które szkarłatnym płoną łanem, podczas gdy (w białym dworku dziewczyna w warkocz szczerozłoty wpina jak krew czerwone maki koralowe) — o „makach" nad któremi kolorowe motyle rozpinają barwiste tęcze pawich oczu (a gdzieś w dali słońca pożar wschodzi w niebo przeźroczu i jest jednym olbrzymim, płomienistym makiem) — o „makach", nad któremi czerw zapala żagwi ognie złote (a w kwietnym sadzie dziewczyna, śniąc słodką tęsknotę, do twarzy tuli maków płomienie pąsowe) — o „makach" które słoneczna rozpromienia rozpusta (a gdzieś dziewczę daje komuś swoje maki usta, z uśmiechem na witrażach twarzyczek anielich).

Nie będę się zatrzymywał nad erotykami, śród których, obok muzycznych dźwięków, jak w „przyjdź dziewczyno" itd., albo obok również melodyjnych „gdy mi w oczach złotą falą", poruszy się dostatecznie frazesowe „Carpe diem" — okupują te jednak zwrotki „Dziewczyno ty moja biała", doskonale naśladujące formę ludowej piosenki, albo tragiczny niemal nastrój „wieczoru" — mówię niemal tragiczny, gdyż ulotnemu tragizmowi, z taką szczerością bijącemu (poza ostatnią zwrotką) z wiersza „w oczekiwaniu", nieprzyjemnego płata figla zakończenie: „przyjdź, może będe miał choćby garść ostatnią złota, jeśli nie, to zapłacę jak poeta wierszem!"

Przejmująca melancholja wyziera ze strof, pisanych przed „wschodem słońca", i ze strof „ostatniego listu". Mam wrażenie, że list ten jest pod względem formy reminiscencją literacką, treść jego wydaje mi się przecież własnością duszy, niekłamanym przejętej smętkiem... Nie dziwota, wszak krokom młodego pieśniarza towarzyszyło widmo śmierci...



Tego smętku pełno jest w tem sercu, mimo, że od czasu do czasu zatętni w takt mazurowego „dziś — dziś", albo zatrzyma się, potrzebnie czy niepotrzebnie, w to wchodzić nie będę, nad karnetami karnawałowego kotyljona.

Po „światłach i zmierzchach", po uświadomieniu sobie, może i trochę literackiem, że był zawsze jak ów na szczycie smrek, druzgotany wichrem, że duchem był pokutnym, ze wszystkich najsmutniejszym, po czułem szepnięciu nam do ucha, że na jego pól szarzyznę smutną i bezkrasą, gdzie święci długie wczasy jego myśl zmęczona, schodzi w godzinach nocy melancholji postać; po tragicznej istotnie apostrofie do śmierci, jako najlepszej lekarki, tragicznej w ustach młodzieńca, który chyba wiedział, że młode jego siły, ciężką trawione chorobą, mają się ku końcowi; po „godzinie dosytu", w której obok bajronistycznych literackości staje przed nami szczera chyba rozpacz człowieka, chodzącego szlakiem bolu, człowieka sierocego, jak mówi i bezdomnego — po tych, miejscami jakby z potrzeby rozczulania się nad sobą snutych „światłach i zmierzchach" probuje poeta „na innej zagrać strunie" i wybucha zdawkowym nieraz wykrzyknikiem: Niech żyje życie! Eviva l'arte e vita, urąga w sposób dość literacki filistrom, albo rwąc się ku słońcu, tworzy nieoryginalny zresztą, literackiemi reminiscencjami — pod względem formy — przepojony dytyramb na cześć ciszy.

W cyklu „z jesiennym wiewem" gromadzi znowu obrazy tak bezpośrednie, jak mgłą melancholji osnuty ogród („patrzałem na ogród"), albo śpiewa nam tak miłą i znowu tak smętną nutę, jak owo „od rżysk... od pól... tęsknota... ból i głuchy płynie żal", albo z melodją zwiędłych liści na ustach przypomina sobie, że gdzieś daleko, ktoś, pełen tęsknoty, wyciąga ku niemu ramiona omdlałe miłośnie.

A potem znowu wiosna — pora młodzieńczych marzeń

i snów. Sady kwitną wiśniowe, każdy sad jest niby puhar, najwybrańszem przepełniony winem, ale do wina tego mieszają się przecież krople smutku, melancholji. Czy nie zrodziła się ona z wyraźnego lub niewyraźnego poszeptu zbliżającej się nieuchronnej śmierci, której żadne nie powstrzyma Davos? Od tego smętku, od tej melancholji, zbliżającej się w spokojną noc wiosenną, ucieka nad morze i wsłuchuje się w dźwięki mandolin i w włoskiej, słodkiej mowie śpiewane pieśni o winie i dziewczynie, ażeby, wróciwszy do ojczystej ziemi, patrzeć, jak po rosie przez ciche, białe łąki płyną nietylko drżące wyznania i westchnienia — ale szlochy młodzieńczego, zawiedzionego serca, bolesne żale i rozpacze. Albo przez okno kawiarni, tej niszczycielki młodych sił, a w której przygotowywało się obrachunki wrażeń z teatru czy sali balowej, spoglądał na świt i śpiewał wewnętrzny hymn na cześć słońca, hymn zakłócony znowu przesadnym obrazem zwrotki ostatniej, malującej stan poety, leżącego w męce, jak pies kopnięty...

Najmilsze, najprostsze, najbezpośredniejsze w tym zbiorku całym są wrażenia z pól, łąk i ogrodów — wrażenia ginące niejednokrotnie w potoku słów bezpotrzebnych, niejednokrotnie przecież wybijające się z całą czystością, takie nastroje muzyczne, harmonijne, jak n. p. w wierszu „słychać płacz skrzypiec", czasami przecież jakby umyślnemi psute zgrzytami, jak właśnie w owym wierszu „o świcie wiosną"! Pejzażowe bezpretensjonalne, nierzadko o osobistej wizji jego świadczące obrazki daje nam poeta, „śniegowym" krocząc „szlakiem". Mamy tu ogród studrzewny, tonący w falach śnieżystych, oblany pozłotą słońca, wsłuchujący się z cichutką tęsknotą w muzykę kryształowych skrzypiec anielich; razem z poetą patrzymy na cudowną baśń kwiatów, wyczarowanych ręką mrozu na szybach; razem z poetą też niejeden może



z nas, z zadumą spoglądając na białe płaty śniegu, spadające poza oknami naszej izby, zatęskni za „orlą, bujną, gromową młodością, za jej pędem rycerskim", co z życia pełnej rzeczywistości swej pozostawiła nam tylko „echo starodawnej nuty". Czy młodość poety się zmarnowała? Nie wiem, wiem tylko jedno, że śmierć przedwcześnie przecięła pasmo dni talentu, który możeby nie doszedł do wysokiej potęgi, ale który to, co miał w sobie, rzewność i prostotę, uwolniłby z rozmaitych naleciałości postronnych i pisał nam w czystej, bardziej własnej formie.

Pisząc te wyrazy, miałem przed sobą białe półarkusze papieru z ponalepianemi wycinkami zadrukowanej, szarej, dziennikarskiej bibuły. Poezje śp. Adama Dobrowolskiego chłonął wróg poezji moloch dziennikarski, tak jak chłonął jego życie. Poezja ta również szara, ale z szaroty tej przebija szczerość, niestety właśnie dla użytku dziennikarskiego przemieniana na drobną, tego samego stempla monetę. I dlatego też możnaby niejedno z tego tomiku usunąć — uniknęłoby się wrażenia pewnej monotonji, ale czyż monotonja nie bywa wyrazem życia, a czyż wyrazem tego życia nie jest i poezja?

Nie znałem zmarłego, nie widziałem go nigdy na oczy, przypuszczam jednak, że dobrym był człowiekiem, świadczy o tem zastęp przyjaciół, których odszedł, a którzy we wydaniu tej spuścizny pośmiertnej pragną uczcić jego pamięć.

Niech i mnie wolno będzie zaliczyć się do ich grona.

# POECI GÓRNEGO ŚLĄSKA
## PRZEDMOWA DO POEZYJ KAZIMIERZA LIGONIA

Niepozorna książeczka, a przecież tak wiele mówiąca. Mimo rozdziałów z nazwiskami pisarzy na czele, opowiada nam nietyle dzieje piśmiennictwa górnośląskiego, ile raczej dzieje wspaniałego cudu, jaki od stosunkowo nielicznych lat dziesiątek spełniał się i spełnia w prastarej dzielnicy piastowskiej — dzieje odrodzenia narodowego.

Oderwane przed sześciu wiekami od macierzy, od Polski (początek jej upadku), dzielnice nadodrzańskie, dziedziny nasze, wystawione na najsroższy ucisk germanizacyjny, umiały one jednak w przeważającej masie ludności swej, zachować najgłówniejszy pierwiastek narodowościowy, umiały utrzymać skarb swój najdroższy, język ojczysty.

Wyrzucano go ze szkoły, usiłowano, acz z niewielkim skutkiem, wypędzać go z kościoła, zabraniano mówić nim po urzędach, po fabrykach i kopalniach, choć byt tych fabryk i kopalń od polskiego zależny był robotnika, od odwiecznych mieszkańców Śląska, którzy znojną, haniebnie wyzyskiwaną pracą swoją zmuszeni byli pomnażać dobytek cudzych panów, nie różniących się w niczem, acz należeli do „narodu filozofów", kierującego się „bojaźnią bożą", od pospolitych, złotem i brylantami świecących rabusiów i złodziei.

Nie gardzono żadnemi drogami, uciekano się, poza gwałtem i przemocą, do środków najhaniebniejszych, do popierania i wyróżniania odstępców i zaprzańców, aby materjalne powodzenie ich było zachętą dla ludzi słabszych, ludzi, pozbawionych twardej podstawy moralnej, podkopywanej z niesłychanym w dziejach cynizmem. Zobojętniał niejeden —



rzecz zwykła, — odpadł niejeden; jak mieliśmy tego dowody, niejeden przeszedł wprost do obozu wrogów i wrogom tym pomagał w deprawowaniu duszy własnych rodaków.

Ale mimo tych wszystkich wysiłków, osłanianych częstokroć powagą wychowawców i nauczycieli tej duszy, na dnie jej tkwiły pierwiastki potężniejsze od podłej chęci, piekielnych zamiarów i wstrętnego urzeczywistnienia ich przez zaciętego, niespoczywającego nigdy nieprzyjaciela.

I pierwiastki te zaczęły się objawiać samorzutnie, w piśmiennictwie ludowem wogóle, a w poezji w szczególności, w poezji tworzonej przez dzieci ludu, wytryskającej z źródła, jakiem zawsze była i zawsze będzie — po wieki — nieśmiertelna, zawsze czujna, zawsze skrzętna dusza tego ludu.

Niejeden z tych twórców ukończył zaledwie szkołę elementarną i to niemiecką, niejeden dopełniał wykształcenia swego w seminarjum duchownem wrocławskiem, w którem starano się go wszelkiemi sposobami usuwać z pod wpływów polskich dla dobra — o zgrozo! — religji, a przecież te wszystkie nazwiska, od których roi się nasza książeczka, znamienitym są dowodem, jakie bogactwa piastowskie „Śląsko nasze" posiada nietylko w wnętrzu swej ziemi, ale i w głębinach tej prostej, szczerej duszy jej mieszkańców prastarych.

Dusza ta, bywało taiła właściwą swą istotę przed oczami wroga, aby nie stracić odrazu możliwości wydatnej pracy nad swymi braćmi.

W gimnazjum w Raciborzu, dokąd między innemi, zagnał mnie własny mój niepokój, siadywał na jednej ławce ze mną młody człowiek, syn chłopa górnośląskiego, który żadną miarą nie chciał mówić ze mną po polsku, a który później, jako ksiądz, stał się — jak słyszę — jednym z najgorliwszych krzewicieli myśli i uczuć polskich. Wiedział wówczas, co czyni — wszakże mnie samemu kazano, wśród okoliczności drama-

tycznych opuścić gimnazjum i opolskie i raciborskie, ponieważ z kolegami górnośląskimi także dziećmi ludu polskiego, ośmielałem się — mimo zakazu — w ojczystym rozmawiać języku.

A jaki urok wywierała na Górnoślązaków poezja nasza, niech poświadczy wspomnienie, jakie wyniosłem z Opola. Dla przykładu i zachęty zapisałem się na nadobowiązkową naukę języka polskiego, choć jako Poznańczykowi, wychowywanemu poprzednio, aż do klasy ostatniej, w gimnazjach wielkopolskich, nauka ta nie całkiem już wystarczała. I oto do dziś dnia mam przed sobą jeden z najbardziej rozczulających i największą otuchę wlewających obrazów: uchodzący ogólnie za Niemca, w każdym razie, jak mi mówiono, do polskości nie przyznający się publicznie nauczyciel naszego języka, ksiądz Cytronowski, czytając z katedry „Mohorta", tak się rozrzewnił, że łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach.

Rzewność, nietylko wobec rodzinnej dzielnicy śląskiej, ale wobec czarodziejskiego imienia Polski jest też zasadniczą cechą tej prostej, kwiatów literackich pozbawionej poezji, która wsiąkła i wsiąka w duszę ludu górnośląskiego, duszę tę krzepi i podtrzymuje i do wspaniałego prowadzi ją zwycięstwa.

I tak należy patrzeć na pieśń tę, której kilka zaledwie urywków przytoczył nam w przeglądzie swym p. Kazimierz Ligoń, a która, o ile ją znam, a nasłuchałem się jej dosyć, jako ongi kolega i towarzysz niejednego z dzisiejszych narodowych działaczy śląskich, wielkie, niezawsze szlifowane posiada klejnoty, pieśń do kamiennego, tajemniczym, czarnym, a tak pożytecznym blaskiem połyskującego węgla, który wydobywany rękami wolnego już ludu polskiego, stanie się jednem z najgłówniejszych źródeł dobrobytu całej, nierozdzielnej już Polski.

---

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K.O.S.B.
w Białymstoku
695/XIX-XX

# SPIS RZECZY

Str.

O ASNYKU. I. El...y (Odczyt na wieczorku Asnyka) pd. „Tydzień" NN. 50, 51, 52, 1896 r. . . . . 7
II. Adam Asnyk (wspomnienie pośmiertne) pd. „Tydzień" N. 32, 1897 r. . . . . 26
SŁOWACKI pd. „Tydzień" N. 15, 16, 1899 r. . . . . 37
KONOPNICKA JAKO POETKA SPOŁECZNA (Odczyt 3. IX. 1902 r.) . . . . . 53
NASZ LUD (sprawozd. z odczytu Konopnickiej) pd. „Kurjer Lwowski" 1896 r. . . . . 58
KAROL BRZOZOWSKI pd. „Tygodnik Ilustrowany" N. 4, 1899 r. . . . . 64
O WŁADYSŁAWIE ŚLEWIŃSKIM (wstęp do Katalogu wystawy obrazów Ś. we Lwowie w 1907). . . 77
MIKOŁAJA HUSSOWSKIEGO „Pieśń o Żubrze" i „Pan Tadeusz" pd. „Słowo Polskie" NN. 53—56, 1913 r. 83
O SIENKIEWICZU. (przemówienie na Akademji ku czci S. 20. XII. 1916 r.) pd. „Kurjer Lwowski" NN. 91, 92, 1917 r. . . . . 109

Recenzje i przedmowy:

SYZYFOWE PRACE, (recenzja „Kurjer Lwowski" z 7. XI. 1897 r.) . . . . . 120
LEĆCIE ME PIEŚNI, przedmowa do książki Dobrowolskiego 1914 r. . . . . 126
POECI GÓRNEGO ŚLĄSKA, przedmowa do książki Ligonia 1920 r. . . . . 132

---